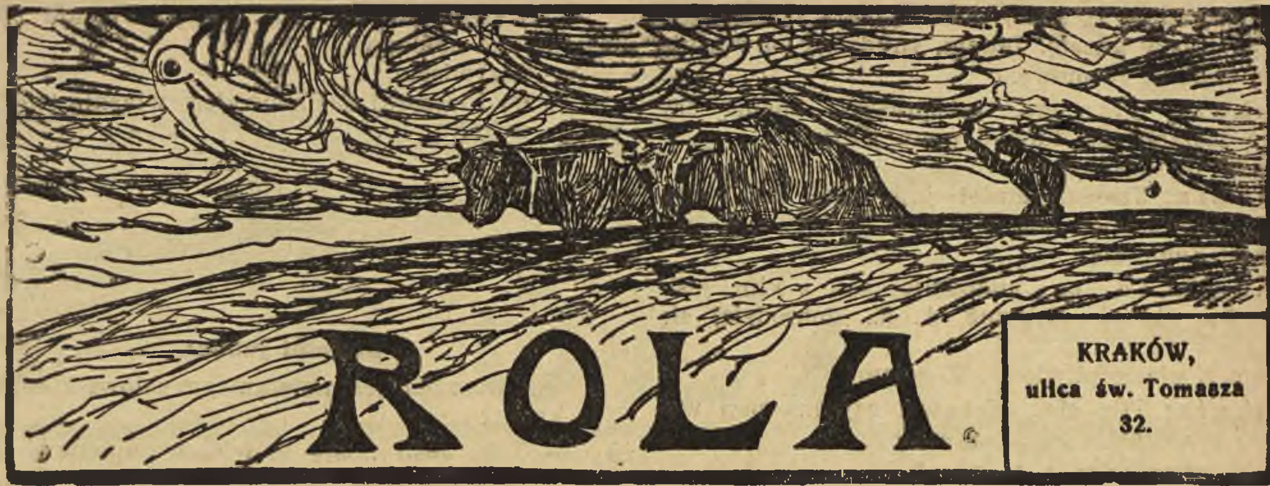
Numer 36. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 2 Września 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Cięty jąkała.

W przedziale II klasy siedzi jąkała i pan jakiś pilnie czytający gazetę. Jąkała, znudzony nawiązuje z nieznajomym rozmowę.

Jąkała: Prz... prz... przepraszam ppana, czy wwolno zzzzzapytać ddokąd ppan jedzie?

Pan: Do Warszawy.

Jąkała: Ttto świetnie! jaja tteż tam jadę. A... a... a poc... poco pan jedzie?

Pan: Żenię się.

Jąkała: Cc... cc... cudownie; aaa z kim, jeśli wowowolno się za... zapytać, d.. d... dobrodziej się żeni?

Pan z niecierpliwiony: Z osłem!

Jąkała: Ttto cie... ciekawe; czy ma pan wobec tego pozwolenie pa... papieskie?

Pan zdziwiony: A to poco?

Jąkała: A bo bo widzi pan, j... jajak osioł z osłem sssię żeni, to to b... b... bardzo bliskie p... p... pokrewieństwo.



— Wie pani — powiedziała gadatliwa stara panna — gdym tu przyszła, bolała mnie strasznie głowa, teraz jednak ból znikł zupełnie.

— O nie, proszę pani, nie znikł wcale. Teraz mnie głowa boli.

Wyznanie.

— Wszak mówiłeś mi, ojcze, że mam cię we wszystkiem naśladować?

— Oczywiście.

— Bo... wczoraj naśladowałem właśnie twój podpis na wekslu.



Stuletni jubilat.

— A więc pan jest najstarszym człowiekiem w całym kraju?

— Tak. Jeśli mogę mówić w zupełnem zaufaniu — to moja żona jest jeszcze starsza, ale... nie wolno mi tego zdradzać.



U handlarza starożytności.

— Mam dla pana rzecz nadzwyczajnej wartości, stary rewolwer, pochodzący z czasów rzymskich.

— Co? Przecież rewolwerów rzymianie wcale nie znali.

— Właśnie dlatego ten mój jest tem cenniejszy.

Numer 36. Rok XI. Kraków, dnia 2 Września 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Dziedziczność charakteru.

Wszystkie stworzenia, czy to w państwie roślinnem, czy zwierzęcem, są podobne do swoich rodziców lub w bardzo krótkim czasie po narodzeniu stają się podobnemi do nich nietylko pod względem zewnętrznej postaci, ale i w objawach swojego życia.

Że cechy wspólne całemu rodzajowi przechodzą z rodziców na potomstwo, dowodzić nie trzeba, ale też i właściwości, należące do rasy lub odmiany, są również dziedzicznemi. Róża nie zrodzi fjołka, pies nie wyda na świat zająca, a biały człowiek murzyna. Toż samo możemy powiedzieć o dziedziczności pewnych zdolności. Zwierzęta, nawet takie, które nie widziały swoich rodziców, przynoszą na świat nietylko instynkt swego rodzaju, ale nawet i gatunku, jak to można widzieć u owadów, ptaków, zwierząt i ludzi. Nawet cechy i upodobania osobiste przechodzą na dzieci.

Są rodziny, w których nawet pewne nieprawidłowości fizyczne przechodzą z ojców na synów w przeciągu wielu stuleci. Tak, naprzykład, jedna z arystokratycznych rodzin Hiszpanji odznacza się tem, że wszyscy jej członkowie rodzą się z sześcioma palcami u nogi; inne mają charakterystyczne nosy, uszy, wargi (Habsburgowie). Tożsamo należy powiedzieć o przymiotach, wadach umysłowych i usposobieniu do pewnych chorób, które przechodzą dziedzicznie na potomstwo.

Wogóle obserwacje wiekowe dowodzą, że dziedziczność jest prawem w naturze, a niedziedziczność jest tylko wyjątkiem. Dziedziczność ta bywa bezpośrednią, gdy rodzice przekazują potomstwu swemu właściwości obojga rodziców i w równej mierze fizyczne jak i moralne przymioty, albo jednego tylko z nich, przyczem mogą zachodzić tylko dwa wypadki: albo dziedzictwo przechodzi z ojca na syna, z matki na córkę, albo odwrotnie.

Drugi rodzaj dziedziczności jest to tak zwany atawizm, który polega na odradzaniu w potomkach natury dziadków, a nawet pradziadków.

W sprawie dziedziczności najbardziej interesującem jest pytanie, dlaczego ojciec niegodziwy, czasami nawet zbrodniarz, ma syna poczciwego i cnotliwego, lub odwrotnie. Przypuścić tu należy, że na ukształtowanie charakteru działa nietylko dziedziczność, ale także skłonność wrodzona i wychowanie. Dobre wychowanie pleni złe nałogi dziedziczności i sprowadza człowieka na normalne tory. Wobec tego często dzįedziczność u syna zanika, aby tem jaskrawiej wystąpić u wnuka, jeżeli mu braknie należytego wychowania.

Że przy urodzeniu się człowiek posiada już pewne ciemne skłonności i odrazy, które bardzo często odgrywają w życiu jego bardzo wielką rolę, świadczy o tem bardzo wiele przykładów. Naprzykład tak bardzo rozpowszechniona u ludzi dążność do robienia majątku. Zapytajmy człowieka bogatego, który posiada dosyć dla siebie i dla całej rodziny, dlaczego tak ustawicznie dąży do pomnożenia bogactw swoich? Jeżeli jest szczery, odpowie, iż życie nauczyło go, że wielki majątek nie przyczynia się do szczęścia, a jednak czuje jakiś niejasny pociąg do ustawicznego zbierania i gromadzenia pieniędzy, które mu przeszkadzają do użytkowania życia i bogactw.

Skłonności dziedziczne w człowieku mają wielkie podobieństwo do popędu roślin i instynktu zwierząt, ale różnią się tem, że człowiek posiada wolę i może rozkazywać popędom, ulegać im lub sprzeciwiać się i dlatego jest odpowiedzialny za czyny swoje i chęci.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść

VIII.

Jechali w stronę Winnicy, a droga ta już była pełna niebezpieczeństw czyhających chytrze z poza każdego krzaku lub drzewa. Wokoło panowała groza śmierci, w atmosferze przeładowanej wonią prochu i zakrzepłej ludziej krwi.

Byli już daleko za Turbowem, a mijając jodlaste aleje ulic wyjechali na szosę wydeptaną masowym marszem, gdzie szerokie koleje zdradzały ślady armatnich wozów, które tędy niedawno przeprowadzano.

Po niedługim też czasie skręcili z powrotem na drogi polne, gdyż lękali się spotkać z przemarszem wojsk bolszewickich.

Wkrótce stanęli w jednej wsi, przecinającej im drogę, i oto nowy dramat śmierci spojrzał im w oczy: We wsi panowała epidemja tyfusu, codzień też marło do pietnastu osób, a nikt nie mógł zapobiec szerzącej się z okropną szybkością zarazie.

Przed cerkwią spotkali dwa pogrzeby, a zrozpaczeni ludzie biegali bezradnie od chałupy do chałupy, ratując jak mogli, jedni drugich, gdyż lekarstw ani doktora w wiosce nie było, a do miasta dostać się nie było można, z powodu ostrzeliwania go przez bolszewików.

Po minięciu smutnej wioski — oczom podróżnych przedstawił się nowy okropny widok: Oto stały przed niemi, w śmiertelnej głuszy, bezczynne pancerki, obryzgane czerwoną krwią, świadcząc o okrutnej walce jaka się tu rozegrała. A dalej, pole było zasłane trupami, nad któremi unosiły się tylko stada kruków i wron.

Według informacji biednych ludzi, zbierających po polu rozmaite porozrzucane przedmioty — były to ślady niedawnych walk o Winnicę, pomiędzy bolszewikami a Szepelem, którego armja opanowała całkowicie Winnicę z całą okolicą, tworząc partyzantkę z rozbitków armji ukraińskiej.

Powoli minęli okropne cmentarzysko, i grozą przejęci pojechali dalej ku Winnicy.

Na moście, pod miastem, zatrzymał ich patrol Szepela, a skontrolowawszy dowody udał się z niemi do dowództwa załogi miasta.

Patrol składał się prawie z samych Polaków, którzy bardzo dobrze obeszli się z podróżnymi, radząc im jechać ukrytemi drogami, gdyż na każdem niemal miejscu w tym okręgu, zagrażało ich życiu okropne niebezpieczeństwo.

Stanęli wkrótce przed dużym budynkiem, na którym powiewał żółto-niebieski sztandar, świadczący o przynależności do Ukrainy. W budynku tym mieściła się załoga miasta.

Jeden ze starszych żołnierzy, udał się z panem Winiawskim do wnętrza gmachu z papierami podróżnych. Po niedługim czasie wyszedł dowódca, a powitawszy ich, zaczął przemowę, zachęcając, by wstąpili w szeregi ukraińskiej armji, gdyż cele jej są im bliskie, bo i oni przedzierają się do Polski, gdyż tam mają swoje rodziny, a większość ich jest z armji austrjackiej, którzy byli w niewoli u Rosjan.

Wysłuchali Polacy przemowy dowódcy w milczeniu, nie zgodzili się jednak na zachęcające propozycje, i trwali nadal w swojem postanowieniu: iść trudną drogą aż do oznaczonego celu.

Dowódca widząc, że nie namówi Polaków, wrócił do gmachu, i po chwili wyniósł im postemplowane dokumenty, oraz przepustkę. Serdecznie podziękowawszy, ruszyli dalej za miasto, gdzie w przyległym folwarku stanęli kwaterą.

Zdala widać było wioskę rosyjską — na ośnieżonym pagórku stała cerkiew, a niżej w kotlinie studnia, przy której wieśniacy poili konie.

Wieczór się zbliżał okrywając świat całunem mroków. Z oddali dźwięczały melodyjne dzwony cerkiewne, a pieśń dziwnie melancholijna płynęła rozwlekłym echem pod strop niebieski... i łkając konało w cichej wieczornej zadumie.

W cerkwi migotały światła żarzących się świec i roiło się od nabożnego rosyjskiego ludu.

Późno już było gdy podróżni ułożyli się do snu. Od szosy wiodącej do Lityna, dolatywały głosy maszerujących wojsk Szepela, mącąc ciszę nocy brzękiem i tupotem końskich kopyt, i budząc niepokój w sercach podróżnych.

Rano ruszyli do Lityna, gdzie po drodze spotkali ich kozacy Szepela. Przejeżdżając obok podróżnych spoglądali z podełba, łypając białkami ócz na jadące kobiety, a z gromady ich dawały się słyszeć rozmaite wykrzykniki skierowane ku jadącym, które brzmiały:

— Szpiegi! — Roztrelat ich! — O ten był u bolszewików!... I inne zaczepne impertynencje.

Powoli jednak minęli ich, a gdy się już skryli w oddali, podróżni skierowali się w bok drogi, by nie narażać się więcej na niebezpieczne spotkania.

Maszerowali teraz poza szosą, jadąc ukrytą drogą prowadzącą do wsi Mikulińce odległej od Lityna o dziesięć kilometrów, gdzie mieli stanąć na noc.

We wsi, przy pomocy bawiących się dzieci, znaleźli wójta, prosząc go o rozlokowanie ich po domach.

Wójt, był to stary wieśniak Ukrainiec, bardzo miły i szczery człowiek, który obaczywszy młodych ludzi, witał ich jak swe dzieci, dziwiąc się, i strofując, że o takiej ciękiej porze wybrali się do Polski.

Lecz gdy się dowiedział co ich zmusiło do wymarszu, był zdumiony ich odwagą bojową, i współczuł mocno ich tułaczej doli.

Zawołał też sołtysa i kazał ich rozlokować po chałupach. Sołtys przyrzekł to spełnić, lecz oznajmił wójtowi, że w południe był jakiś patrol konno, który pokręcił się po wsi, a potem objechawszy naokoło polami, pojechał w stronę Lityna.

Podróżni rozlokowali się grupkami po chałupach, lecz tej nocy nie sądzono było im odpocząć, gdyż we dwie godziny po ich przybyciu, z wielkim hałasem, strzelaniną i wykrzyknikami, wjechało do wsi wojsko Szepela. Były to oddziały bojowe, które torowały drogę dla sławnego partyzanta.

Na jednej z ulic, pod szkołą wiejską ustawione do strzału czerniały lufy armat, patrząc obojętnie swemi czarnemi ślepiami w gwiaździstą cichą noc.

Wkrótce ciszę nocy zamąciły krzyki rozlegające się po całej wsi. Zgłodniali żołdacy rozlecieli się naokoło, rabując wszystko co tylko się dało, a gdy kto stanął w obronie swojego mienia, wówczas strzelano do człowieka z jednakową obojętnością jak i do zwierząt. Ryk mordowanego bydła, strzelanina i krzyk ludzki, zlewały się w jeden okropny wrzask, który płynął daleko poprzez ciszę nocy, napełniając serca ludzkie ogromną trwogą.

Straszna to była noc, gdyż groza śmierci roztoczyła swe czarne skrzydła ponad całą wsią, napełniając strachem i dalszą okolicę.

Mówiono, że niedaleko od wsi, w Brajłowie, są bolszewicy, a na potwierdzenie pogłoskom, kawalerja szepelowska nie zsiadała wcale z koni, szykowano się widocznie do stoczenia boju.

Rozlokowani grupkami Polacy, naradzali się co czynić w tej niebezpiecznej sytuacji, lecz na razie nie było żadnej rady, gdyż nikt nawet nie śmiał wyjrzeć, aby porozumieć się z drugiemi — każdy też musiał czekać swego przeznaczenia, polecając się tylko bożej opiece. (Ciąg dalszy nastąpi).

Jurek „Zuch" i Królewna Lala

albo

Bajka o zaklętej królewnie

Hej! Było to dawno przed wiekami; ludzie byli dobrzy, zwierzęta łagodne, ptaszki niepłochliwe i wiecznie radosne. Ogonem kota, drzemiącego na płotku, bawiła się szara myszka, a on patrzał na nią łagodnie, zdając się mówić: „Baw się mała, baw zdrowo". Na łąkach hasały niedźwiedzie i wilki z jagniętami, wpadały do lasów i goniły się wesoło, spoglądając czasem w górę na pląsy orłów, jastrzębi i mysikrólików. Ludzie kochali się wzajemnie; złości, nienawiści, zazdrości i nędzy nie znali, bo te wyruszyły za siódme góry na długie wieki. Ale przecie był to świat i znany nieraz nawet w bajce „padół płaczu". Ziemię tę piękną, uśmiechniętą trapiły złe duchy, a najwięcej to już czarnoksiężnicy płatali ludziom brzydkie figle. Ot raz naprzykład zachciało im się królewskiej córy za żonę dla swego króla. A była to cud-dziewica, ta Lala, córka monarchy Dobromiła. Dalejże więc ją mamić, a czarować, dopóki nie uległa ich mocy. Tylko, że mając zostać królową duchów, musiała uzyskać władzę czarnoksięską; trudnem to wprawdzie było, ale możliwem.

Poczciwy król Dobromił, widząc swą córkę w jakimś gorączkowym, nienaturalnym stanie, trapił się bardzo i wzywał najlepszych lekarzy świata. Ale cóż tu znaczyła wszelka wiedza lekarska wobec piekielnych sztuczek czarnoksiężników? Zmartwienie króla powiększyło się jeszcze więcej, gdy Lala ni stąd ni zowąd poprosiła o 24 par nowych bucików, i o dziwo! powtarzała swe żądanie co wieczór. Widocznie zużywała je gdzieś nocą; a nikt nawet nie domyślił się, że zaczęła już odbywać czarnoksięską próbę do uzyskania władzy nad duchami.

Król Dobromił, chcąc zbadać tajemnicę, stawiał co wieczór u wrót sypialni Lali wartownika, z rozkazem upilnowania jej. W innym razie czekała go kara śmierci. Żadnemu jednakoż nie zdawało się trudnem wykonanie tego rozkazu, dlatego każdy szedł odważnie na posterunek, z nadzieją ujrzenia cudnego oblicza królewny. Niestety zawiódł się król. Codziennie rankiem szedł kat do dworca królewskiego, codziennie rankiem wracał z zakrwawionym mieczem i codziennie rano ostrzyły sobie kruki i wrony dzioby, a nieraz wieczorem odzywała się grobowo sowa lub wtórował jej jękliwie puszczyk.

Hej! smutne rzeczy poczęły się dziać w kraju króla Dobromiła; brakło dzielnych obrońców ojczyzny, i niejedna panna, niejedna żona i sędziwa matka ocierały gorzkie łzy. Corazto więcej przybywało kolorów czarnych i smutnych twarzy, nawet wesołe zwierzątka i żwawe ptaszki umknęły w głębie borów, bojąc się smutków ludzkich.

Jakaś nieprzenikniona tajemnica otoczyła zamek królewski i odstraszała ludzi. Nikt, nawet sam król nie wiedział, czemu to Lali nie można upilnować? Więc siwą głowę pochylał na piersi i płakał gorzko. Wreszcie, gdy widział straszny ubytek w swem wojsku, bo nietylko rycerze ginęli z ręki kata, ale wielu wyjeżdżało w obce krainy, ogłosił, że kto upilnuje Lalę, dostanie ją za żonę. Z początku dużo zgłosiło się ochotników i panów i szlachty i mieszczan, lecz coraz mniej ich było, gdyż przekonali się, że tu działa nieczysta siła.

A jednak był junak!

I podczas, gdy tyle krwi niewinnej się lało, tyle gorzkich łez płynęło, a królewna szydersko się uśmiechała, toczyła się w jednej duszy walka, straszna walka człowieka samego ze sobą, która nieraz stanowi o całem jego życiu. Piękny młody chłopiec Jurek, wzrosły pod macierzyńskiem okiem i troskliwą ręką starego sługi-wojaka, ujrzał raz odkrytą twarzyczkę królewny Lali. I on co świata mało znał, w duszę ludzką nie umiał patrzeć, spostrzegł w okamgnieniu, że pod maską ironicznego uśmiechu, krył się na twarzyczce Lali cichy smętek i tęsknota. Nie umiał sobie zdać sprawy z uczucia, jakiego doznał, ale słyszał ciągle koło siebie: „Idź, wybaw królewnę". Z czego i dlaczego ją miał wybawić, nie wiedział, lecz zdawało mu się, że on tylko potrafi ją uszczęśliwić i zetrzeć z jej twarzyczki smutek. Domyślał się więc, że chcąc zdobyć taką królewnę, trzeba na to zasłużyć.

I wyruszył w dalekie obce krainy i nabrał sławy i chwały, a do imienia przydomek „Zuch". Syty wrażeń powrócił do ojczyzny i szczęśliwy padł w objęcia matki. Ale szczęśliwość jego zaćmiona dziwnym pociągiem do królewny, została teraz zatruta wiadomościami o smutnym stanie kraju. I ścierały się w jego sercu zupełnie przeciwne uczucia: miłość i przywiązanie do matki z jednej, blada, smętna twarzyczka Lali, widziana na śnie i na jawie z drugiej strony. I gdy tu wołał głos obowiązku syna, tam wabiła tęsknota serca. Walczył i siłował się ze sobą. W tem ścieraniu się duchowem, siadł raz wieczorem na koń i rozgorączkowany spostrzegł się z przerażeniem pod oknem królewny.



Późno było mu już wracać, widocznie przeznaczenie go tu wiodło. Odzyskał równowagę ducha i krokiem sprężystym, z modlitwą w sercu stąpał na pokoje królewskie. Król podniósł wypłakane oczy na niego, a widząc młodzieńca pełnego sił i krasy, opuścił głowę i rzekł złamanym głosem:

— Synu wracaj do domu, nic tu pilnowanie nie pomoże, moja córka jest pod władzą złych duchów.

Jurek nie ugiął się pod słowami Dobromiła, lecz łagodnie odparł:

— Królu ojcze, władza Boska tu więcej znaczy, a ponieważ w Imię Jego rozpocznę dzieło, przeto ufam w powodzenie.

I pełen otuchy i wiary w swe własne słowa, poszedł do drzwi sypnialni królewny, trzymać straż nocną. Serce mu biło w piersi, jak spłoszonemu ptakowi, ale stał nieporuszenie; w tem coś mu oddech zaparło, krew zbiegła do serca. Drzwi się otwarły i do sypialni wbiegła lekko, wdzięcznie uśmiechnięta królewna, a za nią służąca z koszykiem pełnym butów. Po odejściu służącej, podeszła Lala do Jurka i nalewając czarę złotym płynem, rzekła do niego z ujmującym uśmiechem:

— Pij piękny rycerzu ten nektar pokrzepiający, a nabierzesz siły i upilnujesz mię tej nocy, bo mi cię żal.

Rycerz wziął napój do ręki i korzystając z nieuwagi królewny, wylał go za siebie. Poczem zwalił się na ziemię bezwładnie, udając głęboko uśpionego. Lala jednak, chcąc się przekonać o sile jego snu, wbiła mu za paznokieć u palca długą igłę. Jurek poczuł nieznośny ból, ale nawet nie drgnął. Królewna uspokojona teraz, opuściła pokój, udając się gdzieś w daleką drogę, a rycerz bezwłocznie za nią. Pół godziny trwała piesza podróż przez ściernie i kamienie, lecz oni zdążali szybko, nie zważając na przeszkody. Królewna nagle zatrzymała się u niewielkiego krzaka i ułamawszy z niego jedną gałązkę, siadła na nią jak na konia. Po chwili... fiu... wyjechała w powietrze i pomknęła lotem strzały w dal. Jurek, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, modlił się w duchu i czynił tosamo co Lala.



Brr... nadchodzi godzina duchów i upiorów; skądś z innych wyziewów ziemi, nocnej ciszy bije jakimś grobowym głosem dzwon 12-tą godzinę. Prymitywne, skrzydlate rumaki, jakby pod czyimś rozkazem, poczynają zwolna opuszczać się na ziemię i przed oczyma Jurka rozsunęła się delikatna przędza kolorowych baśni. Bo to co ujrzał, przechodziło ludzką myśl i fantazję. Zrazu przymrużył oczy przed zbyt silnem światłem, ale po chwili podniósł zdumione źrenice na trzy przepiękne pałace: srebrny, złoty i djamentowy, tonące w tęczowej jaśni, bajecznych światłach i kolorach. Królewna oswojona widocznie z tym cudem, mogącym istnieć tylko w baśni, stąpała lekko w blaskach i rozpylonym tumanie świateł, podobna wdzięcznej rusałce, kąpiącej się w pianie morskiej.

A już u wrót srebrnego pałacu czekało na nią 24 czarnoksiężników z pochylonemi czołami, o długich, czarnych brodach, spojrzeniach jak ostrza sztyletu, przybranych dziwnie fantastycznie. Władca ich ujął lekko dłoń Lali i wprowadził ją do wspaniałej sali jadalnej, a za nimi podążyli wszyscy. Tylko Jurek mimo swej odwagi, drżał, aby nie być spostrzeżonym i przytulił się do muru, rzucając trwożne spojrzenie w okno jadalni. Uczta się rozpoczęła; nektar lał się w kosztownych, srebrnych naczyniach, a marcepany spożywano ze srebrnych mis i talerzy. Królewna piękna, jak marzenie siedziała wśród ponurych czarnoksiężników, rozweselając ich. Cała sala tonęła w przepychu i blasku, a biesiadników kołysała słodka, rozmarzająca muzyka!... Krótko to jednak trwało, niebawem wszyscy przeszli do złotego pałacu. Przemyślny Jurek wtargnął po ich odejściu do jadalni i zabrał ze stołu łyżkę oraz filiżankę, z której królewna piła. W złotym pałacu odbyło się tosamo, co poprzednim, tylko wspanialej i w tonie złotym. I stąd nie omieszkał rycerz zabrać dowodu swej bytności w pałacu. Jakby pchany nadzwyczajną siłą, czynił to niemal machinalnie, ale z rozmysłem i silną wolą.

I tu uczta nie trwała długo, bo zaraz przenieśli się do trzeciego pałacu djamentowego, najwspanialszego. Całe prawie wnętrze zajmowała olbrzymia sala o podłodze jak lustro gładkiej, ozdobiona dywanami, pięknemi malowidłami i tysiącem luster, a w promieniach świec bijących z żyrandoli grała cudnemi blaskami. Kryształowe ściany pałacu migotały kolorami tęczy i rozsiewały drżące, barwne poświaty w ciemną, tajemniczą noc, gasząc nawet światło miesiąca. Była to sala taneczna. Przy wejściu czarnoksiężników z Lalą do wnętrza, ozwała się ukryta muzyka; lekkie, wiotkie tony napełniły powietrze, przesycone aromatem wonnych olejków. Z wdzięcznego szemrania przeszły dźwięki w silne, słodkie głosy i rozegrały się, rozetkały, odbiły hen w dal echem! Król czarnoksiężników ujął za rękę Lalę i wziął do tańca, ale zaledwie zrobili kilka obrotów, królewna ustała i musiała przebrać buciki. Teraz wykryła się cała tajemnica, która tyle kosztowała krwi i łez. Oto podłoga lśniąca zdaleka jak lód, kryła w sobie miljony brzytew, zwróconych ostrzami do góry, blisko jedna obok drugiej. I niedziwota, że tak prędko zniszczyła Lala trzewiki. A ponieważ musiała ze wszystkimi odtańczyć, przeto 24 pary potrafiła w ciągu pół godziny zedrzeć. Jurek „Zuch" patrzał na to wszystko z radością, dziękując Bogu za Jego cudowną pomoc. Lecz nie było czasu do stracenia, bo godzina duchów kończyła się, a królewna tańczyła już z 18-tym czarnoksiężnikiem. Przeto Jurek niezwłocznie siadł na gałązkę i poleciał zawrotnie do dwora królewskiego. W uszach słyszał świst powietrza, w sercu czuł błogość i niezmierną radość; myślał, że niedola jego się skończyła. Niestety, zamało cierpiał, by osiągnąć szczęście. To był dopiero początek utrapień — królewna upilnowana, lecz nie uwolniona z czaru. Hej! rycerzyku, nie trać nadziei i ufności w pomoc nieba!

Godzina 1-sza nadchodziła tany się skończyły i czas już było królewnie do domu. Pożegnała się serdecznie z każdym czarnoksiężnikiem, a z królem ich wymieniła na odchodnem, wymowne spojrzenie: „już wnet".

(Dokończenie nastąpi).

SZCZĘŚCIE RODZINNE.



Było ich dwoje. A gdy się poznali,
Tęsknem marzeniem serca ich zabiły
I tylko w oczy swe ciągle patrzali,
I tylko jakieś złudy im się śniły.

Gdy byli razem, dzień stawał się chwilką,
I spływał błogo, czarownie, rozkosznie;
A oni, młodzi, rozmawiali tylko
O szczęściu swojem i swej życia wiośnie.

Gdy się na chwilę rozłączyć musieli,
Tęsknica żarła ich serca ogniste,
I jużby z wichrem ku sobie lecieli,
By znów popatrzyć w swe oczy strzeliste.

I tak czekali dni wprawdzie niewiele
Pośród serdecznej a miłej udręki,
Dopóki kapłan nie związał w kościele
Stułą rąk młodych i serc dwóch na wieki.

I przez rok cały pędzili czas złoty
W miłości jasnej dla siebie i z sobą,
Syci młodzieńczej wzajemnej pieszczoty,
Aż Bozia dał im takie małe... „bobo".

Tatuś, mamusia! O jakże radośnie
Powitać takie małe, lube „bobo"
Po życia swego ulecialej wiośnie
I znów się pieścić... chociaż już nie sobą!

Teraz we trójkę wśród pięknej pogody
Czas przepędzają rozkosznie i miło
Choć matuś młoda, chociaż tatuś młody
I tak trzeciego coś do nich przybyło.

I rozpieszczone wyciąga rączęta
Chwyta za włosy krucze swego tata,
A matka patrzy, jakby wniebowzięta,
Że jej pociecha takie figle płata.

I myślą sobie, co to z tego będzie:
Biskup, kardynał lub rycerz bez skazy
A może nawet na tronie zasiędzie
Skąd rzucał będzie krajowi rozkazy?

A może ujmie w swe małe rączęta
Pióro złociste i w struny uderzy
A pieśń popłynie gdzieś w sercu poczęta
Po kraju swego rozległej rubieży?

Któż może zgadnąć, co przyszłość przyniesie,
I jakie wróżyć kto może nadzieje?
Wszak to pędraczek, co do życia rwie się
I swej wędrówki zaczyna koleje!

Lecz nim świat malca ustroji w swe szaty
I w gwiazdy wzniesie lub pogrąży w błoto,
To pędrak mały dla mamy i taty
Najrozkoszniejszą jest zawsze pieszczotą.

Antoni Socha.



Maciek Bzdura gada:

Myślałem, że mnie Wawrzek zaproszą na swoje wesele z Marcysią, ale gdzie tam. Jak trza do roboty, to chudobnego kuzden widzi, ale jakby se mozna było przedsięwzięcie podreperować i garlisko jako tako przepłukać, to tam o chudobnem nikt nie pomyśli. Do tego są gospodarze i gospodynie z dwoma brzuchami. A przecie chudobny mozeby jesce lepiej jeść potrafił, niz najlepsy gospodarz.

Ale niech tam! Nie prosił mnie Wawrzek na wesele, to nie prosił, a przecie ja i tak byłem, bo mi tam tak znowu bardzo o prosenie nie chodziło. A było to weselisko, powiadam wam, palce lizać. Juz na samych weselników wartało popatrzyć. Scególniej starościna! Była nią najpirsa gospodyni z Zapleśniałej Góry, Kunda Ochwacina , baba jak harmata z wielkiej wojny światowej. Jak wesła do izby, to jaze się ściemniło; pół izby sobą zawaliła. Sadliska było na niej z osiemdziesiąt funtów, a same pośladki miała takie obsyrnie, jak koła u wozu. Na sobie zasie, jak później padał Józek Podlasek co to wszyćko i wszędzie spenetruje, Ochwacina miała siedem spodnic, śtyry zapaski i dwie kosule. Gęba się jej świciła, jak miesiącek w pełni, a na froncie dyndały jej dwie półkule, z których kazdą przykryłby ćwiartkę do mirzania zyta.

Druchnów były okrągluśkie śtyry, a więc piegata, jak kukułce jajko, Baśka, świdrowata Jaga, Magda od Pacyny i Jewka Poliwconka. Wszyćkie śtyry były niezeniate, ale co do panieństwa, to rozmaici rozmaicie powiadali. Ino Baśkę Józek Podlasek nie był pewny, bo co do reśty, to wiedział dokumentnie, ze takie one panny, jak ja, albo moja gospodyni. Starostował wójt z Psi Wólki, a Wawrzek obrał sobie go la tego, bo był to człek nie grymaśny i w nicem nie przebirał. Była wódka, to pił wódkę, nie było wódki, to pił piwo, a jak się udało, to jedno z drugiem misał i nic mu nie skodziło.

We środę raniusieńko poczęli się weselnicy zbirać u Marcysinych ojców, skąd miało całe wesele pojechać do kościoła. A trza było na cas, bo z nasem jegomością nie śpasy. Jak które wesele nie przyjedzie na ósmą godzinę, to ojcowie musą za karę zapłacić jedną i drugą dziesiątkę. La tego tez u nas jest porządek, bo wszyscy weselnicy juz o siódmej są przy kościele, to jest nie przy samem kościele, ale w karcmie pod kościołem, gdzie przez cas cekania Mosiek jesce niejednego złociaka zarobi. I Pon Jezus ma na cas chwałę Bożą, i Mosiek co środę dobry utarg, i jegomość na cekaniu casu nie tracą.

La tego tez i u Marcysinych ojców weselnicy juz o szóstej byli wszyscy zebrani. Muzykanci siedli na ławie kole pieca, na środku postawili stół i zacęły się przeprosiny. Starosta, druzbowie i co tłuściejsi gospodarze chodzili wele stołu, rzucali grose na talerz i przyśpiwywali jaze miło. Potem zacęły się właściwe przeprosiny. Druzki poczęły śpiwać na nutę godzinkową: „Przeproś tatusia, przeproś mamusię i całą rodzineckę", a Marcysia sła od matki do ojca, od ojca do braci i siostrów, chytała ich za nogi i przeprasała, choć sama nie wiedziała, za co i po co. Ale wszyćkie tak robią, to i ona tak robiła. A tymcasem Wawrzek siedzieli na ławie i patrzyli na to wszyćko z pode łba. Pytają się go Jacenty, cego mu tak smutno, a Wawrzek na to:

— I jakze mi się, kumie, weselić. Jest jedzenie, jest picie, są gospodarze i gospodynie, są muzykanty i wszyćko jest, jak się patrzy, a przecie nie wszyćko, bo jej nima, to jest mojej nieboscki i nie widzi tego wszyćkiego, co tu jest. A przecieby się bidaka ucieszyła, ze jej Wawrzka tak ludzie sanują i tak się tu wszyscyześli.

— Bajecie, kumie! Jakby niebościka zyli, toby nie było wesela!

— No juści prawda, ale mi przecie markotno, ze to wszyćko bez niej. Tak się człek wyekspensował, tyle się jedzenia i picia nasposobiło, a kto tego wszyćkiego dopilnuje? Połowę wychleją ci, co nie powinni!

— No, a Marcysia?

— Bogać tam Marcysia! Jej jesce fiu, fiu w głowie. Bo wicie, kumie, ze baba nabiera dopiro wtencas rozumu, jak ją chłop raz i drugi powrozem przełoji. A Marcysia co? Przecie mi jej przed ślubem pod spodnicę zaglądnąć nie wypadało, więc tez nie wie, co to mężowska miłość znacy. I przyjrzyjcie ino się dobrze, a zuźrycie, ze przed samem świętem sakramentem za chłopcyskami gały przewraca. Tu na nic ksiądz, na nic organista. W małzeństwie dopiro ręka mężowska coj nieco poradzi. Juz ja tam wiem, ze jakby tu była nieboscka, świć Panie nad jej dusą, toby wszyćko było inacej.

Wawrzek byłby jesce dalej mówił, ale starosta pocął wołać, ze juz cas do kościoła, więc się tez wszyscy zacęli zbirać, a i ja z niemi.

Przed wychodnem jesce pan organista wypowiedział pięknieńkie przeprosiny, takie w sam raz za dwa złote, wszyscy posiadali na wozy, muzykanci zagrali i całe wesele rusyło do kościoła.

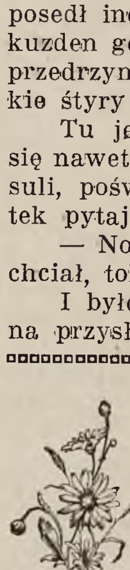
Przy karcmie stał Mosiek, poprawiał berlydko na głowie i tak się miluśko uśmichał, ze nijak było go minąć, to tez wszyscyśmy, to jest ci, co przyjechali i ci, co przyśli, do karcmy wstąpili, bo do kościoła był cas jesce całą godzinę.

Zabawiło się bractwo, oj zabawiło! Do kościoła posedł ino pan młody i starosta, no i baby, a reśta, kuzden gdzie ta mógł, to się sparł, aby się krzynkę przedrzymać, bo kuzdemu we łbie latało na wszyćkie śtyry strony. Ja posedem do kościoła.

Tu jegomość jakosik bardzo się spieszyli, bo się nawet ubrać ni mieli casu, ale wyśli w białej kosuli, poświargotali potem po niemiecku, a na ostatek pytają się Wawrzka, cy chce Marcysię?

— No juści — powiada Wawrzek — jakbym nie chciał, tobym tu nie przysed.

I było juz po ślubie. A jak było na weselu, to na przysłą niedzielę wam opowiem.



Najszczęśliwszy zawód na świecie.

Wszak najszczęśliwszy zawód na świecie
Prawdopodobnie przypadł poecie.
Dziś niejeden pracy tak łaknie
Poecie tejże nigdy nie braknie;
Czy w dzień roboczy, czy w innym czasie
Poeta pracy ma wciąż w zapasie.
Ukończy jedną, inna go wzywa,
Poeta w pracy nic nie spoczywa,
I czy na ziemi, czy na firmamencie
Poeta wszędy znajdzie zajęcie.

Ignacy Biegacz.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XIV. **Wyrok śmierci.**

Wycieczka, którą Doroszenko z kozakami i tatarami przedsięwziął, zmusiła wkrótce do milczenia armaty małego oddziału polskiego.

Nie mógł się on opierać pięckroć przeważnej sile i musiał się cofnąć pospiesznie, ażeby nie został otoczonym i wytępionym.

Na szczęście udało się oddziałowi ocalić i uprowadzić obie armaty.

Doroszenko jednak nic nie wiedział, czy liczniejszy oddział nieprzyjacielski nie znajdował się w odwodzie i już nie nadciągał, postanowił zatem nie ścigać uchodzących.

Hetman kozacki, powrócił zatem o świcie pod mury miasta i tu znacznej części swych ludzi kazał zająć stanowisko.

Sam z atamanami i jednym oddziałem udał się do miasta.

Z wieży pozostała już tylko czarna ruina. Części drewniane były spalone, żarzyły się i dymiły jeszcze.



Przestałeś wydawać rozkazy, Sobieski.

Inna kula ognista zapaliła w innej części miasta dom samotnie stojący, ale na szczęście pożar nie rozszerzył się dalej.

Gdy Doroszenko powrócił do miasta, przekonał się przedewszystkiem, że pojmany Sobieski znajduje się jeszcze w bezpiecznem zamknięciu, do którego został przeprowadzony i w którem go strzeżono.

Następnie hetman z atamanami udał się do domu, w którym mieszkał i w którym znajdowała się wielka izba będąca rodzajem sali.

Zająwszy z atamanami miejsce przy długim stole, kazał przynieść jadło i wino.

— Mamy jeszcze wydać wyrok, towarzysze broni, — rzekł po biesiadzie, — mamy ważnego i znakomitego więźnia w naszych rękach! Odbędźmy nad nim sąd! Sprowadzić tutaj Jana Sobieskiego, wodza naszych nieprzyjaciół.

Sześciu zbrojnych kozaków wykonało rozkaz.

Wkrótce Sobieski, który zrzucił z siebie przebranie kozackie, ukazał się w sali pośród zebranych.

Postawa jego była dumna i nieugięta. Nieprzyjaciele ponuro i groźnie spoglądali na niego.

Wszedł do sali i zbliżył się do stołu, przy którym Doroszenko biesiadował z atamanami.

— Jestem w waszej mocy, — rzekł donośnym głosem, — macie w ręku swego nieprzyjaciela! Więc dobrze, oznajmijcie mi mój los.

— Przestałeś wydawać rozkazy, Sobieski, jesteś naszym jeńcem, — odpowiedział Doroszenko, — my tu rozkazujemy! Wkrótce dowiesz się wyroku!

— Nie sądźcie, żebym się go lękał, — odparł Sobieski.

— To zobaczymy! — zawołał Doroszenko z szatańską miną, — każdy z nas wymyśli jakiś rodzaj śmierci, a najokropniejszą wybierzemy, a wtedy przekonamy się, czy wzięty do niewoli wódz nieprzyjacielski, waleczny Sobieski, pozostanie niemym i dumnym.

Słowa znalazły w kołach naczelnika głośne uznanie.

— Ja proponuję, że na szczątkach murów wieży postawić wysoki słup, — mówił Doroszenko dalej, — Sobieski zostanie do niego przywiązany, ażeby go nasi wojownicy widzieć mogli. Następnie zostanie mu okręcony około szyi stryczek, który będzie przywiązany do wierzchołka słupa, ażeby nim wiatr pomiatał, jak dzwonem.

— Dobra to propozycja, ale ja podam lepszą, — zawołał jeden z atamanów, — ubierzcie go w suknię umaczaną w smole i zapalcie. Niech jako słup płomieni wróci do swoich żołnierzy.

Projekt ten znalazł wielkie poparcie w kole zebranych, jednakże jeszcze inny ataman zażądał głosu.

— Czyż nie nazwałeś go wczoraj pojmanym lwem hetmanie? — zapytał, — lew pojmany, gdy się znajduje w naszych rękach nie powinien nam więcej dać uczuć swych łap. Zbudujmy klatkę z drzewa i sztab żelaznych, zamknijmy w tej klatce pojmanego lwa i obwoźmy go po mieście i za miastem, ażeby wszyscy widzieli go w klatce.

— To najlepszy pomysł! Wsadzić go do klatki! — zawołano dokoła.

— A potem przyniosą drzewa, — mówił ataman dalej, — i włożą do klatki i zapalą je, a wtedy usłyszymy, czy lew nie zacznie wyć!

— Spalić go! Tak spalić go w klatce! — wołali odurzeni winem naczelnicy.

— I ja się zgadzam na ten wyrok! — zawołał Doroszenko, — dalej zbijcie klatkę z mocnego drzewa i zaopatrzcie ją z dwóch otwartych stron żelaznemi sztabami, ażeby można było widzieć pojmanego lwa w klatce.

Rozkaz wykonano natychmiast. Kilku kozaków zbiło klatkę.

— Jest to was godne, — rzekł Jan Sobieski — ale nie sądzcie, że się obawiam waszego barbarzyństwa! Możecie mnie dręczyć, możecie mnie zabić, możecie mnie uczynić ofiarą waszego okrucieństwa, ale wobec śmierci zostanę takim samym jakim jestem!

— To zobaczymy, Janie Sobieski! — zawołał Doroszenko — do klatki z tobą! Głód i pragnienie zmiękczą cię! A jeśli nie, to ogień da ci radę.

— Drżyjcie przed zemstą moich żołnierzy!

— Chcesz nam grozić zuchwalcze? — zapytał Doroszenko — czas twój przeminął! Nie darmo wpadłeś w nasze ręce! Tym razem niema ratunku dla ciebie!

— Jestem w ręku moich nieprzyjaciół, jestem więc na los mój przygotowany! — odpowiedział Sobieski.

— Będziesz ostrzegającym przykładem dla innych dowódców, — mówił Doroszenko, — gdy usłyszą, co się stało z tobą, będą się wystrzegali przeciw mnie podnosić broni!

— Mylisz się buntowniku! — zawołał Sobieski dumnie, — przykład mój zachęci ich tembardziej, ażeby ciebie i twoich ludzi wytępić! Śmierć moja będzie pomszczoną!

Kozacy oznajmili, że klatka już gotowa.

— Wziąć go do klatki! — rozkazał Doroszenko z wściekłością wskazując ręką Sobieskiego.

Kozacy rzucili się na niego.

Sobieski odepchnął ich.

— Pójdę sam! — odpowiedział.

— Powalcie go! — krzyknął Doroszenko, — ale nie zabijcie!

Kozacy rzucili się na Sobieskiego i wywlekli go na ulicę.

Tam stała przygotowana wielką, żelazną kratą opatrzona klatka.

Sobieski został do niej wpchnięty, poczem drzwi klatki zaryglowano.

— Zaprządz konia! — rozkazał Doroszenko, który z atamanami znajdował się na dole.

Rozkaz jego wykonano natychmiast.

Klatka eskortowana przez kilku kozaków z pikami, jechała naprzód. Doroszenko i atamani jechali za nią konno.

Tak orszak przybył do bramy miasta i przebywszy most zwodzony, opuścił miasto.

Za miastem obozowali ludzie Doroszenki.

Wydali oni głośne krzyki na widok klatki i zbiegli się do niej, ażeby zobaczyć więźnia.

Hetman pozwolił tej uciechy swoim żołnierzom. Triumf ten sprawiał mu największą przyjemność.

— Chodźcie tu i przypatrzcie się wodzowi w klatce! — wołał z konia na nadjeżdżających kozaków i tatarów.

Klatka z Sobieskim przedstawiała straszny widok.

Miał on przed oczyma okrutną śmierć, ale nie szemrał. Wszystkie te cierpienia ponosił dla ojczyzny i ta myśl dodawała mu siły!

Konie popędzane przez kozaków ciągnęły klatkę dalej. Witały ją wszędzie dzikie okrzyki zadowolenia.

Nagle, gdy klatka jechała dalej, kozacy i tatarzy pobledli rozskoczyli się na obie strony. Widocznie coś ich przestraszyło.

Pomiędzy nimi ukazał się pochylony, skaczący Czerwony Sarafan.

Klatka stanęła.

Doroszenko i jego towarzysz zatrzymali konie.

Czerwony Sarafan, śmiejąc się przeraźliwie, spostrzegł klatkę i zamkniętego w niej bohatera.

Spostrzegłszy, Czerwony Sarafan, pobiegł pochylony ku klatce i pochwyciwszy rękami za kraty, wpatrzył się pomiędzy nie z widocznem wielkiem wrażeniem.

Poznał Jana Sobieskiego.

Następnie zaczął skakać z dzikim śmiechem dokoła klatki, a wyglądał tak strasznie, że kozacy cofali się przed nim.

— Czerwony Sarafan się pokazał! — zawołał Doroszenko, — nie ruszajcie go! Niech robi co chce i niech idzie gdzie chce! Dosyć już krwi przelanej! Naprzód!

Orszak puścił się w dalszą drogę. Czerwony Sarafan przyłączył się do niego.

Rozdział XV. **Niespodziewana pomoc.**

Czerwony Sarafan jeszcze podczas objazdu klatki poza miastem, udał się do miasta. Straszny był widok tego czerwonego widma, tańczącego po trupach. Śmiech jego miał coś przerażającego. Tylko obłąkany mógł tak śmiać się i tańczyć.

Tańczące widmo przybliżyło się do wieży, pod którą w tej chwili nie było żadnej warty. Pochylony zbliżył się do jej murów. Zdawało mu się, że słyszy stłumione wołanie.

Co to było? Przez chwilę panowała głęboka cisza, następnie lekki jęk doszedł do niego.

Dokoła nie było widać nikogo. Słaby ten dźwięk musiał więc dochodzić do niego z wnętrza spalonej wieży.

Czyżby tam był jaki człowiek?

Czerwony Sarafan zbliżył się do bramy wieży — była zamknięta.

Stanowiło to niespodziewaną przeszkodę.

Ale Czerwony Sarafan umiał sobie poradzić. Wszedł do znajdującej się obok wieży niskiej kordegardy i znalazł tam na ścianie, na gwoździu, kilka wielkich kluczy. Wziął je i powrócił z nimi do bramy.

Wkrótce znalazł klucz właściwy, włożył go do starego zardzewiałego zamku i obrócił z całą siłą.

Otworzył bramę.

Poczerniały, bezładny chaos dokoła, przedstawiał się strasznie.

Czerwony Sarafan dotknął na pół spalonych odłamów drzewa, leżących dokoła, — były jeszcze gorące.

Zręcznie przeskakiwał pomiędzy niemi.

W tem ciężkie westchnienie dało się słyszeć wyraźnie z ciemnego, tylnego korytarza.

Czerwony Sarafan wytrzeszczył oczy. Nie mylił się. W ciemnej części wieży znajdował się jakiś człowiek, o którym zapomniano.

Dziwny człowiek wymówił kilka niezrozumiałych wyrazów i wspinając się na opalonych belkach, dostał się na wąski, sklepiony korytarz.

Tu było tyle dymu, że zaledwie mógł oddychać.

Wdzierające się jednak powietrze, rozrzadzało dym.

— Na pomoc! — wołał słaby głos.

Czerwony Sarafan wzdrygnął się się, lecz przemagając wstręt, rzucił się w korytarz pomimo dymu.

Gdy zbliżył się do drzwi wychodzących na fosy, ujrzał w słabem świetle, które się tam przedzierało, leżącą ślepą niewolnicę z Sziras.

Sassa była bliską śmierci. Straciła przytomność. Tylko instynktem zachowawczym kierowana wymawiała nieświadomie wyrazy, które Czerwony Sarafan słyszał. Leżała nieruchoma.

Czerwony Sarafan przyjrzał się jej.

— To ślepa! — szepnął.

I otworzywszy jednym z przyniesionych kluczy małe drzwi, wpuścił światło i powietrze do zadymionego wnętrza wieży.

Następnie wyjrzał na zewnątrz tą furtką. Przekonał się, że po drugiej stronie fosy, znajdowali się kozacy, cofnął się szybko. Potem z beczki znajdującej się w wieży, przyniósł wody i zaczął nią cucić Sassę. Uklął przy niej i patrzył w jej bladą twarz. Obmył jej czoło i zwilżył wodą jej usta.

Świeże powietrze i woda podziałały orzeźwiająco na omdlałą.

Ciężkie westchnienie wydobyło się z jej piersi... podniosła się.

Sassa pochwyciła za ramię Sarafana.

— Gdzie jest mój pan? Gdzie jest Jan Sobieski? — zapytała nagle i śmiertelna trwoga wyraziła się w jej rysach.

— He! he! z nim nie dobrze!

— Mów, gdzie jest? — zapytała Sassa wstając, — muszę iść do niego! Dostał się do niewoli!

— Do niewoli tak! Kozacy zamknęli go do klatki, jak dzikie zwierzę! — roześmiał się Czerwony Sarafan.

— I ty możesz się śmiać! — zawołała Sassa przerażona, — Najświętsza Panno Marjo... więc w klatce! powiadasz?

— Obwożą go w klatce!

— A cóż z nim zrobią później? Jest zgubiony. I nikt go nie ocali?... On nie powinien zginąć.

Czerwony Sarafan wpatrzył się w Sassę.

— Zginę chętnie, byleby go ocalić — mówiła ona dalej. — Ulituj się, pomóż mi ocalić mego pana!

Czerwony Sarafan nic nie odpowiedział.

— Ludzie powiadają, że ty jesteś potworem i śmierć sprowadzasz za sobą? Wszędzie gdzie się ukażesz, jak powiadają płynie krew, masz być widmem wojny... Ja nie uciekam przed tobą, lecz wdzięczną ci będę, bo czyż nie ocaliłeś mi życia? Ale stokroć więcej wdzięczną ci będę, jeżeli ocalisz życie mojemu panu.

— Postanowiłem wprawdzie nigdy nie ocalać życia człowiekowi, bo ludzie — to dzikie zwierzęta, — mówił Sarafan, prostując się nagle. Na twarzy jego był w tej chwili wyraz straszny, okropny.

— A jednak mnie ocaliłeś życie!

— Jesteś ślepa i biedna skowronku!

— A czyż Jan Sobieski nie jest równie zgubiony, jeśli go nie ocalimy?

Czerwony Sarafan nic nie odpowiedział, wybiegł i wkrótce potem znikł w ulicy. Dziki śmiech jego dochodził do ślepej niewolnicy, która znów pozostała sama.

Ślepa niewolnica upadła na kolana, złożyła ręce i modliła się.

Rozdział XVI. **Ucieczka.**

Już się ściemniało, gdy Czerwony Sarafan doszedł do obozujących pod miastem wojowników Doroszenki.

Klatka, w której Sobieski się znajdował, objechała miasto i powróciła nazad mostem zwodzonym.

Czerwony Sarafan obserwował wszystko i ukazywał się to tu, to ówdzie, pomiędzy Kozakami i Tatarami, którzy pod wpływem przesądnej obawy ustępowali przed nim.

Hetman Doroszenko, siędzący na koniu i otoczony swoim orszakiem, wydał niektórym ze swych ludzi rozkaz przyniesienia drzewa i ułożenie go naokoło klatki.

Straszny wyrok śmierci miał być wykonany.

Kozacy znosili szczapy drzewa i układali dokoła klatki.

Z przodu ułożyli drzewo do wysokości klatki, z tyłu nie zadawali sobie tyle trudu. Zamknięty w klatce Sobieski musiał i tak śmierć ponieść, choćby tylko od gorąca i dymu, a ilość drzewa była dostateczną, aby dokoła klatki utworzyć straszny żar, od którego każda żywa istota koniecznie zginąć musiała.

Kozacy oznajmili swemu hetmanowi, że ich praca jest skończoną.

— A więc zapalić! — rozkazał Doroszenko, — będziemy stąd patrzyli na wykonanie wyroku.

Dwaj Kozacy mieli właśnie zapomocą pochodni zapalić drzazgi, gdy nagle Czerwony Sarafan ukazał się przy nich, jakby z pod ziemi, wyrwał jednemu i drugiemu pochodnie i odepchnął przerażonych jego widokiem Kozaków.

Chcieli oni natrzeć na niego, ażeby odebrać mu pochodnie, ale Czerwony Sarafan ku uciesze hetmana i całego zebranego kozactwa rozpoczął już dziwaczny, straszny taniec z pochodniami, około stosu. Trzymał on w każdej ręce pochodnię, wykonując swoje dzikie skoki. Ukazywał się to z tej, to z drugiej strony stosu. Odrażająca jego postać przy blasku pochodni piekielne czyniła wrażenie. Wyglądał jak szatan wcielony.

— Pozwólcie mu tańczyć! — zawołał Doroszenko, — żeby się nikt nie ważył przeszkadzać mu! Kiedy on u nas, to przy nas zwycięstwo!

Czerwony Sarafan tańczył ciągle dokoła stosu.

Nagle rzucił jedną z pochodni pomiędzy drzazgi i suche gałęzie, które natychmiast z trzaskiem zapłonęły.

Drugą pochodnię podniósł w górę, jakby na znak, że widowisko się zaczyna i że on sam zapalił stos.

Potem w podskokach przebiegł na ciemną stronę stosu, gdzie nie było nikogo i począł szybko odrzucać na bok nagromadzone tam drzewo, tak, że z tyłu utworzył otwór w stosie, którego jednak widzieć nie mogli znajdujący się po drugiej stronie Kozacy i Tatarzy.

Czerwony Sarafan był widocznie przebiegłym i zręcznym, gdyż w tej chwili czynił raczej wrażenie widma, niż obłąkanego. Czerwona jego postać wyglądała przerażająco.

Drzazgi i gałęzie paliły się jasno i wydawały gęsty, czarny dym, który szybko zaczął obejmować stos cały.

Czerwony Sarafan tańcząc dokoła, rzucił i drugą pochodnię w to morze dymu.

Płomienie szybko obejmowały oblane smołą drzewo.

Widok czerwonych płomieni wydobywających się z pośród dymu, obudził dzikie zadowolenie w pozbawionych uczuć ludzkich, widzach.

Doroszenko podniósł w górę kapelusz.

Tysiące okrzyków wzbiło się w powietrze.

Kozacy i Tatarzy wyrażali swą radość wobec tego strasznego widowiska.

Wiedzieli oni o tem, że w pośród dymu i płomieni znajduje się człowiek. Okrucieństwo ich było tak wielkie, że właśnie ta myśl przejmowała ich radością.

Postać Czerwonego Sarafana raz jeszcze pokazała się wśród dymu. Skakał on i tańczył jak triumfujący szatan, a potem znikł nagle w czarnych chmurach.

Gdy przybył do tylnej części stosu, w której poprzednio zrobił otwór, przyskoczył do objętej dymem klatki i używając całej swej siły, otworzył jej drzwi.

— Chodź! — zawołał do otoczonego dymem Sobieskiego, — tędy wyjść możesz!

Jan Sobieski poznał Czerwonego Sarafana.

— Chcesz mnie ocalić? — zapytał pochylając się, ażeby wyjść otworem z klatki.

— Prędko! niema chwili do stracenia! — zawołał Czerwony Sarafan.

Sobieski wyszedł. Dym groził mu zaduszeniem, płomień dotykał jego odzieży, wyszedł jednak szczęśliwie i stanął obok Cezrwonego Sarafana, który roześmiał się głośno.

— Będą myśleli, żeś spalony, — zawołał — ale musisz uciekać!

Sobieski usłuchał rady Sarafana. Na placówce poznał go jeden z Kozaków, ale ogłuszony uderzeniem Sarafana padł na ziemię, nie mogąc przeszkodzić ucieczce Sobieskiego. Gdy przyszedł do siebie, Sobieski był już daleko. Kozak zawiadomił natychmiast Doroszenkę, a ten nakazał pościg za Sobieskim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Lato.

Brzęczały sierpy i kosy po polach, aż echo roznosiło się kiedyś ponad modrą wstęgę Wisły i ponad woniejące bory nadwiślańskie. Złocista fala zbóż kładła się na ziemię podcięta ludzką prawicą, kładła się przy pieśni pracowników, która płynęła przy pobrzęku sierpów, gdzieś hen... może ku Stwórcy dziękując za Jego chojność i opiekę nad ludem. A słońce unosiło się kieby ta Monstrancja święta podczas mszy w kościele, a gdzieniegdzie ukazywały się obłoczki chmur srebrzyste, jakoby dymy z kadzielnicy świata. Promienie słoneczne padały, jak złociste struny drgały przedziwnie, jak gdyby brzęczały, jakoby anieli trącali świetliste te struny. Tak dziwnie było i radośnie. W duszach ludzkich palił się ogień radości i nadziei w lepszą przyszłość, w jakąś świetlistą, która zda się kryła za temi obłoczkami srebrnemi, lekkiemi. Hej! lato w całej pełni, lato bogate, radosne. Napełnią się brogi, stodoły po same brzegi złocistemi plonami i napełnią się radością ludzkie serca.... a rozmodlone echo płynęło z pól wciąż i wołało wszystko radością co żyło na ziemi.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Na wzgórku, gdzie zdala widniał duży łan zboża i po miedzach widniały rozłożyste grusze, pobrzękiwała cicho kosa. Na zagonach ojcowskich stał wyrostek z kosą w garści i gładził ją osełką. Co chwila ocierał rękawem pot z czoła i ciął kosą zamaszyście. Zboże opierało się, ale pod przemocą wyrostka padało z miłym szumem i kładło się na ziemi.

— Oj Boże!... — westchnął od czasu do czasu i znów oparł się krzepko nogami i kosił, lecz coraz słabiej, bardziej się wytężał byle siec, byle nie ulec.

Przechodzący tuż koło pracującego, gospodarz wioskowy uśmiechnął się i żartobliwie się odezwał:

— Ej jeszcze rządzi kosa tobą, aleś i tak zuch, Nie daj się Wojtuś, a zastąp ojca matce... oj nie daj się!... i z błogim uśmiechem i szczerem politowaniem odszedł ku wsi.

Wojtkowi krew uderzyła do głowy od radości i dumy... on ojca matce zastąpi, on który ma zaledwie piętnaście lat zwykły pasterz wioskowy, a teraz i gospodarz przedni odezwie się do niego i splunął w garść i kosił. Zapomniał o kosie i sam o sobie ...myślał o matce leżącej w łóżku, chorej i o maleńkim jego braciszku....

— Nie bójcie się, już ja dam sobie radę, skoszę zboże wymłócę i będzie chleb dla nas, a później pójdę gdzie do ludzi, byle tylko żniwa sam skończyć.

Tak rozmyślał, gwarzył sam do siebie, a łzy lały mu się, jak groch na tę świętą ojcowską ziemię. Zapomniał o głodzie i kosił wytrwale, a słowa gospodarza łechtały go mile i dodawały dumy, zarazem dzwoniąc mu ciągle za uszami: tyś zuch nie daj się Wojtuś, tyś zuch. Chwytał kosę i kosił. Zdało mu się, że cała wieś spogląda na niego i dziwuje się jego robocie, ale ustać mu nie pozwoli. Zdawało mu się, że od cmentarza, od kościółka ojciec jego nieboszczyk nadchodzi i błogosławi jego pracę, ale zawsze z tą nieubłaganą wyrocznią:

— Wojtuś nie ustaj... nie wolno... matka chora, mały braciszek.

Wojtek czuł dobrze, co świat mówi o nim, nawet te grusze po miedzach nuciły jakąś rzewliwą pieśń, rozczulając się z radości i dumy. A Wojtek siekł. Naprężał coraz bardziej ręce, krzepko się oparł nogami i dzierżył kosisko. Szedł jak niestrudzony drwal. Zapamiętał się, siły wytężał... choć głodny był i nie zdrów, zaś w uszach jego ciągle dzwoniły słowa: tyś zuch, tyś zuch... matka chora... braciszek mały... Siekł... ale wolniej, pot mu spływał strugami, koszula połatana, przylgnęła mu do plec, a włosy spadały mu mokremi kędziorami na czoło. On siekł. Wytężał siły byle nie ulec. Żyły nabrzmiały mu, jak postronki, mięśnie naprężyły się, oczy mu zaszły krwią, ale jeszcze nie uległ. Słońce już było nisko oświecało jego twarz krwawemi ogniami. On też już był niedaleko brzegu tych fal złocistego zboża. Jeszcze siekł, ale ostatnim wysiłkiem, rzucał sobą jak frygą, byle siec, ale... naraz pociemniało mu się w oczach w piersiach zakłuło boleśnie, oczy krwią zaszły i runął zdało mu się w jakąś stromą ciemną otchłań.

A kiedy słońce ostatni raz spoglądnęło, nie kosił już nikt na tem łanie, a niedosieczone zboże zda się szemrało cicho: Oj dolo ty chłopska, oj dolo.

Wincenty Kuglin.

Garść wrażeń z Krakowa

Czytelnikom „Roli“.

Dziwne uczucie ogarnia nas przy samym wjeździe do Krakowa, wszak miasto to tak drogie sercu każdego Polaka. Przy wysiadaniu natrafiamy na inny nastrój, który jest o wiele uroczystszym, aniżeli w innych miastach Polski.

Godzina szósta rano, ulice dobrze zamiecione, miasto się budzi. Zaczyna się ruch, ale dziwnie spokojny i miły.

Planty ze swemi ławeczkami zapraszają, by usiąść w cieniu rozłożystych drzew.

Zwolna ruch się ożywia, śpieszą do biur urzędnicy, do sklepów kupcy i do pracy robotnicy. (Tylko dzieci mało, bo wakacje).

Każdy kroczy swoją drogą nie zwracając uwagi na innych. Podchodzimy ku Sukiennicom — zamknięte jeszcze, ale już się tu zaczynają poruszać, podziwiamy okazałość gmachu.

Kościół Marjacki restaurują, więc bliżej obejrzeć trudno, ale pomimo tego każdą godzinę zwiastują z wieży hejnały.

Zegar wydzwonił ósmą, więc my śpieszymy, by się spotkać z kimś z „Roli“, ponieważ przyjechałyśmy tylko poto, by „Rolę“ odwiedzić i poznać.

Cóż, dowiedziałyśmy się, że „Rola“ urzęduje dopiero o dziewiątej. Przetrwałyśmy jeszcze tę godzinę w mieście, oglądając historyczne pamiątki.

Bardzo przychylnie nas przyjęto w „Roli“. Pan Wydawca pomimo braku czasu zajął się nami serdecznie i objaśniał nieznane nam szczegóły, oprowadzając nas po drukarni.

Podkreślenia godną jest uprzejmość i grzeczność Krakowiaków. Sercem otwartem witają obcego przybysza.

„Rola“ jednak jest ubogą, nie stać ją na wynajęcie okazałego lokalu dla Redakcji, więc w malutkiem mieszkaniu się mieści. Jest nadzieja, że przy większej poczytności — stosunki inaczej się ułożą i „Rola“ stanie na wyższym poziomie.

Wiele pracy ofiarnej wkładają w „Rolę“. Pan Redaktor Bassara i Pan Wydawca Kowalczyk. Muszą się natroszczyć, by numer był porządny, by czytelników zadowolić i koszta administracji opłacić. A na to mają tylko prenumeraty czytelników.

Podziwu godną jest ta wytężająca praca dla idei...

Dzięki uprzejmości P. Wydawcy miałyśmy sposobność poznać dwu współpracowników „Roli“ pp. R. Rydza i Fr. Lipińskiego. Bardzo to sympatyczni i serdeczni. Troszczą się o „Rolę“, by dać Jej dobre artykuły.

Po południu poznałyśmy P. Redaktora Bassarę, który bardzo grzecznie z nami rozmawiał i na zadawane pytania grzecznie odpowiadał. Jest bardzo skromny, więc rozmowa lekko się toczyła. P. Lipiński poświęcił nam całe popołudnie i zwiedzałyśmy dużo zabytków, które Pan Lipiński tłumaczył.

Byłyśmy zachwycone wrażeniami, lecz jedno nas smuciło, żeśmy się spóźniły do podziemi wawelskich. Mam jednak nadzieję, że kiedyś inaczej będzie i Wawel najsampierw oglądniemy. Stare są zabytki w Krakowie, stare i piękne, więc są godne podziwu.

Miałyśmy tylko dzień, więc trudno było wszystko odwiedzić, lecz dzięki uprzejmości krakowskich serc, przyjemność nasza nie miała granic...

Czytelnikom „Roli“ polecam odwiedzenie Krakowa i przekonacie się, że zamało jeszcze napisałam na ten temat... Zaś pp. Wydawcy i Lipińskiemu, którzy się nami w obcem mieście zajęli, składam tą drogą serdeczne podziękowanie.

Maryla „Widz“.



Poradnik gospodarczy.

Chodząc po polach w czasie, w którym się wywozi nawóz, widzimy go często nie rozrzuconym, tylko ułożonym w małe kupki. I leży tam tak nieraz bardzo długo. Na większych majątkach rozrzucają nawóz bezpośrednio po wywiezieniu, lecz właściciele średnich i mniejszych posiadłości nie zważają na to.

Nawóz nie powinien leżeć w kupkach dłuższy czas na polu, jeżeli bowiem powietrze jest suche i ciepłe, wytwarza się w małych kupkach bardzo prędko amoniak, ulatniający się łatwo w powietrzu i już dla użyźnienia ziemi stracony.

Z amoniaku tworzy się w ziemi sól i saletra, taką zaś saletrzaną solą jest saletra chilijska, która w właściwy użyta sposób, bardzo korzystny na roślinność, t. j. na urodzaje wywiera wpływ. Jeżeli więc pozwalamy amoniakowi, rozwiniętemu w nawozie, ulotnić się w powietrzu, to chcąc dobre mieć urodzaje, musimy dokupić saletry chilijskiej. Jest to zupełnie zbyteczny wydatek.

Jeżeli powietrze jest wilgotne, to deszcz spłukuje luźne, najlepsze składniki nawozu z małych kupek. Przechodzą one w znajdującą się pod niemi warstwę ziemi, która już aż nadto przesyconą jest materją nawozu, podczas kiedy niższe warstwy otrzymują jej zamało.

W ten sposób mierzwione pola przedstawiają bardzo nierówny stan oziminy — w niektórych miejscach zanadto rozwinięty, w innych znów za mało — i tu i tam nie odpowiadają urodzaje oczekiwaniom. Straty, jakie gospodarstwo ponosi wogóle z powodu niewłaściwego obchodzenia się z obornikiem na polu, są ogromne.

Nawóz wywieziony na pole, powinien więc natychmiast być rozrzucony. Chodzi także o to, czy rozrzucony nawóz ma być zaraz zaorany, czy też może dłuższy czas leżeć na polu? Zależy to przedewszystkiem od właściwości ziemi. Na ziemi ciężkiej i zimnej, gdzie chodzi najwięcej o naturalne działanie obornika, należy go natychmiast zaorać, tutaj bowiem ma nawóz ziemię zluźnić i ogrzać. To też rozkład jego ma się dokonywać przeważnie w ziemi — gdy tego niema, nie może się rozwinąć dostateczna fermentacja i cała wartość obornika jest stracona. Na lżejszej natomiast ziemi może nawóz leć długo, naturalnie rozrzucony. Straty w ulotnych właściwościach są niewielkie. Do rozkładu nawozu potrzeba, jak wiadomo, dużo wilgoci i ciepła, którego jednak nie ma ani w późnej jesieni, ani w zimie. Deszcz spłukuje luźne części nawozu w ziemię, z czego powstaje równy podział materyj pożywczych w ziemi — jezt to korzystniejsze, niż zaoranie nawozu.

Materje pożywcze nawozu wsiąkają w bryłki ziemi i rozszerzają się o tyle równiej, o ile równo obornik został na polu rozrzucony. Praktyczni rolnicy zauważyli, że na ziemi średniej i lekkiej były urodzaje o wiele lepsze, jeżeli nawóz dłużej na polu rozrzucony leżał i dopiero na przedzimku zaorany został.

Jeżeli więc urodzaje mają być dobre, to przedewszystkiem należy rozrzucać obornik jak najrówniej,, lecz i na to zważać trzeba, aby z ulewami jesiennemi nie spłynął na jedno miejsce.

Rozrzucony obornik ocienia też ziemię, co mianowicie w ciepłej porze roku bardzo jest dla niej korzystne, bo chroni ją od zbytecznego wysuszenia.

Chcąc osiągnąć równe mierzwienie ziemi, trzeba używać równie dobrego obornika. Nie wywozić go zatem tak jak leży, tylko mieszać stary z świeżym. Wtedy zrówna się wszystko.

Poradnik kucharski.

Zupa ziemniaczana. Sporą ilość włoszczyzny i parę grzybków gotować 1-ną godzinę pod pokrywą, zrobić zaprawę z łyżki mąki i łyżki masła, dobrze zrumienić, rozpuścić zimną wodą, dać parę łyżek kwaśnej śmietany, zaprawić zupę. Na kwadrans przed wydaniem wrzucić parę ziemniaków w kostkę pokrajanych, a gdy się parę razy zagotuje, zupa gotowa. Do wazy dać zielonej posiekanej pietruszki.

Zupa cielęca. Kości cielęce gotować z włoszczyzną, a po ugotowaniu zaprawić. Łyżkę masła zasmażyć lekko z łyżką mąki zaprawić tem rosół, można dodać do smaku soku z cytryny. Do zupy tej dodać ryż lub grzanki.

KRONIKA.

Nowe monety. W chwili obecnej mennica państwowa zajęta jest wybijaniem nowego bilonu. Już ustalony został wygląd i rozmiar monet srebrnych 5 złotowych, które zostaną wypuszczone na rynek pieniężny jesienią bieżącego roku. Ogółem wybitych zostanie 28 miljonów monet 5-złotowych. Mennica państwowa prowadzi dalej studja nad nowym typem polskiej 1-złotówki. Nowe 1-złotówki wybijane będą nie, jak dotąd, w srebrze, lecz w niklu. Jednozłotówki niklowe zostaną wybite w ilości 40 miljonów sztuk. Wraz z wypuszczeniem na rynek tych monet, wycofane będą stopniowo stare papierowe banknoty 5-złotowe i srebrne 1-złotówki. Obecnie mennica wybija w wielkiej ilości bilon drobny od monet groszowych począwszy, mając na uwadze ich wielkie zapotrzebowanie. Tak n. p. wybijamy, dzięki usprawnieniu maszyn, 40 tysięcy 1 i 2-groszowych monet. Ogółem mennica wybija dziennie 120 tysięcy monet. Typ drobnego bilonu, będącego dotąd w obiegu, nie ulegnie żadnym zmianom.

Zbiory w Polsce są lepsze niż przewidywano. Ostatnie relacje, nadchodzące do władz centralnych z prowincji głoszą, że w wielu okręgach, m. i. na Pomorzu, w Poznańskiem, woj. łódzkiem i innych zbiory są wyjątkowo pomyślne, lepsze od średnich, miejscami zaś wprost świetne. Zamiast więc pesymizmu zapanował optymizm, bo dobre zbiory w Polsce, to przecież fakt decydujący o 80 proc. dochodu narodowego Polski, a temsamem i o dochodach skarbu oraz obrotach przemysłu i handlu. Jaki będzie ściśle wynik zbiorów tegorocznych, można będzie ustalić dopiero po kopaniu ziemniaków i zestawieniu doniesień z całego kraju. Obecnie jednak już twierdzą, że jesteśmy uratowani od kryzysu finansowego, który groził nam na jesieni.

Zbiór siana. Główny Urząd statystyczny podaje do wiadomości, co następuje: Względnie chłodna wiosna r. b., po której nastąpiły upały bez dostatecznych opadów atmosferycznych w większej części Polski, wywarła ujemny wpływ na stan łąk. W rezultacie tego zbiory siana pierwszego pokosu zarówno z łąk naturalnych, jak i sztucznych w roku bieżącym są bardzo niskie. Przeciętna dla całej Polski wydajność z hektara wynosi: siana z łąk wodnych — 17,4 q, z łąk nizinnych — 17,7 q, z meljorowanych — 26,5 q. siana koniczynowego — 21,3 q. W stosunku do średniego zbioru stanowi to: dla łąk polnych — 83 procent, dla łąk nizinnych — 84 procent, dla łąk meljorowanych — 82 procent, dla koniczyny — 63 procent. Jak widać z powyższego, najwięcej ucierpiała koniczyna, zbiór której będzie stanowił mniej niż dwie trzecie normalnego. — Siano łąkowe da trochę więcej — cztery piąte normalnego zbioru. W stosunku do roku ubiegłego zbiór wynosił: dla łąk polnych — 79 procent, dla łąk nizinnych — 85 procent, dla łąk meljorowanych — 82 procent, dla koniczyny — 62 procent. Do najgorszych pod względem zbioru paszy należą lata 1922 i 1925, szczególniej pierwszy rok, kiedy panowała posucha. Przytem rok 1922 był jeszcze gorszy od obecnego pod względem zbioru siana z łąk polnych, niemeljorowanych i koniczyny, a rok 1925 pod względem siana z łąk nizinnych i polnych niemeljorowanych. Zaś w roku bieżącym szczególnie zły urodzaj dały łąki meljorowane.

Wypłata zasiłku inwalidom. Zatwierdzona przez Radę ministrów z dnia 5 lipca b. r. pożyczka bezzwrotna dla inwalidów wojennych zostanie wypłacona w trzech ratach. Pierwszą ratę otrzymają inwalidzi w dniu 1 października b. r.

Reorganizacja sądów przysięgłych. Z Warszawy donoszą: Ministerstwo sprawiedliwości opracowuje obecnie przepisy o sądach przysięgłych. Zgodnie z ustawą o sądach powszechnych, sędzią przysięgłym będzie mógł być każdy pełnoletni obywatel Rzeczypospolitej, nieposzlakowanej czci, posiadający znajomość języka polskiego w słowie i piśmie. Kobiety będą wyłączone z zasiadania na ławach sędziów przysięgłych, tak, jak to jest przyjęte w większości krajów europejskich.

300-letni jubileusz świątyni w Leżajsku. W r. bieżącym upływa 300 lat od wzniesienia wspaniałej świątyni w Leżajsku w lesie, gdzie według legendy trzykrotnie objawiła się N. Marja Panna. Znajdujący się w świątyni obraz Matki Boskiej Leżajskiej, cudami słynący, jeszcze w roku 1752 koronowany, ściąga stale rzesze pątników z całej Polski, a nawet z Rusi i odległej Litwy. Dnia 8 września odbędzie się w Leżajsku uroczysty obchód jubileuszowy. Uroczystości rozpoczną się wielką misją ludową, która trwać będzie od czwartku wieczorem dnia 30 sierpnia do piątku rano 7 września. Po skończonej misji odbędzie się na podstawie dekretu papieskiego uroczystość podniesienia obecnego kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku do godności i znaczenia bazyliki Najśw. Marji Panny. W sobotę dnia 8 września odbędą się uroczyste nabożeństwa oraz procesja z cudownym obrazem Matki Boskiej. Zakon OO. Bernardynów w Leżajsku uzyskał od ministerstwa kolei zniżkę kolejową 33 procent dla wszystkich, udających się do Leżajska, w czasie od 30 sierpnia do 10 września.

Katastrofa samochodowa. Na moście między Bieczem a Libuszą pow. jasielskiego wydarzyła się katastrofa automobilowa. Mianowicie auto inż. Waniesa, kierownika tamtejszego urzędu ziemskiego, prowadzone przez szofera Golenia, wpadło przy omijaniu wozu na barjerę, którą wyłamało i spadło wraz z jadącymi do rzeki z wysokości około 7 m. Szofer wskutek zgniecenia klatki piersiowej zmarł w kilka chwil po wypadku, pozostałe zaś trzy osoby są ciężko ranne. Odwieziono je do szpitala w Gorlicach.

Śpiączka pod Lublinem. Z Lublina donoszą: W gminie Jastków, pow. lubelskiego, zaszedł ciekawy wypadek śpiączki. Oto 8 sierpnia 7-letni chłopiec zapadł na tę chorobę i przewieziony został do szpitala w Lublinie. Tutaj dopiero po tygodniu, tj. dnia 15 sierpnia obudził się. Matka zabrała chłopca do domu, w domu malec został sparaliżowany i z powrotem odwieziony do szpitala.

Żona na łańcuchu. Sąd okręgowy w Warszawie rozpatrywał sensacyjną sprawę niejakiego Michala Konda, mieszkańca Mińska Mazowieckiego. Do lekarza powiatowego Dra Zygmunta Rozena zaczęły dochodzić wieści o przestępczych czynach Kondy, którym początkowo Dr Rozen nie dawał wiary. Wobec powtarzania się tych pogłosek, skierował tam felczera Al. Goldmanna, a to celem stwierdzenia na miejscu istotnego stanu rzeczy. Kursujące wersje okazały się prawdziwe. Wszedłszy do jednego pokoju mieszkania Kondy, felczer ujrzał obraz mrożący krew w żyłach: na wiązce zgniłej słomy, leżała wynędzniała, młoda kobieta, która ujrzawszy wchodzącego, zerwała się na nogi, lecz nie zdoławszy ubiec kilka kroków, padła na ziemię. — To łańcuch, którym była przywiązana, uniemożliwiał jej swobodę ruchu. Powietrze w tem domowem więzieniu było tak nieznośne, że felczer w pierwszej chwili musiał się cofnąć — by nie zemdleć z zaduchu. Nie można było nic wydobyć z ust biednej kobiety; spazmatyczny płacz był odpowiedzią na wszelkie pytania felczera. Oskarżo-

ny, stając przed sądem, czyn swój tłumaczył chorobą umysłową żony, brakiem środków na umieszczenie jej w odpowiednim zakładzie. „Była niebezpieczną dla otoczenia“ — tłumaczył się ze spokojem. Sąd skazał nielitościwego męża na 6 miesięcy więzienia.

Oryginalny pan młody. Przed kilku dniami miał się odbyć w Warszawie ślub urzędnika Woronicza z p. B. M. W przededniu ślubu zgłosiła się w urzędzie stanu cywilnego niejaka Swadłowska z Wilna, która przedstawiła dokumenty ślubu, zawartego między nią a Woroniczem. Natychmiast jednak po ślubie Woronicz znikł. Dochodzenia policyjne dały niezwykłe wyniki. Stwierdzono bowiem, że Woronicz, który miał wstąpić w ponowne związki małżeńskie, jest kobietą. Za mężczyznę uchodził od czasu wojny bolszewickiej, kiedy przebywał w legji akademickiej na froncie. Wówczas przywłaszczył sobie papiery na nazwisko Woronicz.

Krwawy napad na sołtysa we wsi Jesiorna pod Sieradzem. Onegdaj mieszkańcy wsi Jesiorna pod Sieradzem ujrzeli leżącego na środku drogi w kałuży krwi mężczyznę, dającego słabe oznaki życia. Obok niego leżała zakrwawiona kłonica. Ze śladów na nim nie można było wnioskować, iż w miejscu tem rozegrała się zacięta walka. W ciężko rannym rozpoznano sołtysa tejże wsi Stanisława Makówkę. Poprzedniego dnia sołtys udał się na wieś zbierać podatki i w drodze powrotnej wstąpił do swego kuma Franciszka Nogali, u którego zabawił do 12 w nocy. Lekarz stwierdził u rannego wstrząs mózgu oraz ciężką głęboką ranę kości ciemieniowej. Ze względu na to, iż rannego znaleziono obok zagrody Nogali, ten ostatni narazie został aresztowany. Przy sołtysie nie znaleziono pieniędzy zainkasowanych tytułem podatków. Dalsze dochodzenie trwa.

Dwie ofiary jadowitej żmiji. Z Sieradza donoszą: Na dwoje dzieci, brata i siostrę, którzy zbierali w lesie borówki, napadła znienacka żmija i dotkliwie je pokąsała. Ponieważ dzieci wobec strachu zbłądziły w lesie, przeto nie można im było udzielić pomocy i następnego dnia znaleziono je martwe w lesie. Miejsca nabrzmiałe wskutek ukąszeń żmiji zaraz naprowadziły na właściwą przyczynę śmierci.

Zemsta oszukanego. Na pograniczu we wsi Ołkowce, liczącej zaledwie 5 gospodarstw, rozegrała się ponura tragedja o niezwykle romantycznem zabarwieniu. We wsi tej mieszkał bogaty włościanin, Derkacz, ojciec niezwykle pięknej córki, Katarzyny. Katarzyna była przedmiotem starań niemal wszystkich parobków wsi, przez wzgląd na jej niepospolitą urodę, a także dla jej dużego posagu. Derkacz jednak odprawiał stale z niczem konkurentów do ręki swej jedynaczki, gdyż byli oni biedni. Sama dziewczyna skłaniała się uczuciem ku najbardziej dziarskiemu z nich wszystkich, który był wodzirejem wśród całej młodzieży miejscowej i który, jak mówiono sobie po cichu, trudnił się przemytnictwem. Widząc, co się święci, Derkacz rozmówił się z owym chłopakiem, nazwiskiem Stefan Mykietyn, i oświadczył, że gdy zdoła mu się wykazać gotówką wystarczającą na kupno 3 morgów gruntu, odda mu córkę. Mykietyn przyrzekł w ciągu miesiąca złożyć wymaganą sumę i po tem oświadczeniu zniknęł ze wsi, a wraz z nim jego nieodłączny towarzysz i spólnik, Jan Matwijczuk. Niezadługo Matwijczuk powrócił sam do wsi i oświadczył, że M kietyna zamordowali bolszewicy i sam uderzył w konkury do pięknej Kasi, a że poparł je gotówką wystarczającą na zakupno 10 morgów gruntu, wkrótce też odbyło się huczne weselisko. Przez trzy lata młoda para żyła szczęśliwie i doczekała się dziecka. Aż w tych dniach w nocy wybuchnął pożar w chacie Derkacza. Rzucono się na ratunek, zdołano jednak wyratować jedynie ciężko ranną Katarzynę. Derkacz zaś, Matwijczuk i dziecko spłonęli wraz z zagrodą. Umierająca kobieta zeznała, iż w nocy do chaty wtargnął Mykietyn i on to dokonał tego strasznego czynu, poczem rozbił płonącą lampę i uciekł. Mordercę zdołano aresztować. I wyszło na jaw, że obydwaj przyjaciele na przemytnictwie zarobili wiele pieniędzy. Mykietyn polecił Matwijczukowi zanieść gotówkę Derkaczowi, sam zaś pozostał. Wówczas Matwijczuk wskazał żandarmom sowieckim na przyjaciela, jako na szpiega, i spowodował jego aresztowanie. Trzy lata bez mała przesiedział zdradzony w sowieckich lochach, wreszcie udało mu się zbiec. Wtedy powróciwszy do rodzinnej wsi, dokonał swego strasznego aktu zemsty. Wstrząsające te przeżycia doprowadziły nieszczęśliwego do utraty rozumu.

Tragedja miłosna w Nizzy. Niezwykła tragedja rozegrała się niedawno w jednym z najelegantszych hotelów w Nizzy — hotelu Ruhl. Przed kilku dniami przybyła do tej uroczej w promieniach południowego słońca skąpanej miejscowości para brytyjskich tancerzy, aby tutaj produkować się swą sztuką. Para obudziła w Nizzy ogólne zainteresowanie. Rozeszła się bowiem pogłoska, że tylko on jest zawodowym tancerzem, ona zaś jest żoną niejakiego Wiliama Robertsona, właściciela wspaniałego majątku w Szkocji, a zamieszkałego stale w Londynie. Pani Mary Robertson w jednym z nocnych lokali londyńskich poznała tancerza Smitsona, zakochała się w nim namiętnie i uciekła do Nizzy. Ta pogłoska zyskała rychłe potwierdzenie. W krótki czas bowiem po zjawieniu się w Nizzy pary tanecznej zjawił się tam sam Wiliam Robertson. Odwiedził natychmiast swoją żonę i oświadczył, że przebaczy jej tę skandaliczną ucieczkę, o ile powróci do niego. Kocha ją ciągle tak samo i nie wyobraża sobie życia bez niej. Ale piękna Mary odmówiła stanowczo: Wiliama nigdy nie kochała i nie poświęci dla niego głębokiego i szczerego uczucia. Szkot przejął się tem bardzo. Kiedy na cześć jego przybycia zjawiło się u niego kilku przyjaciół, począł z nimi pić na umór, chcąc zagłuszyć potworny ból, zadany mu przez białą i delikatną, lecz tak okrutną rączkę żony. W pewnej chwili przeprosił Robertson przyjaciół i w nocy udał się znowu do żony. Przyszło do gwałtownej sceny. Jasnowłosa Mary okazała się jednak równie nieczuła na prośby, jak na pogróżki. Robertson zrozumiał, że decyzja żony jest nieodwołalna. Wówczas wydobył z kieszeni dwa potężne pliki banknotów, zdjął z palców pierścienie, wydobył papierośnicę i zegarek i to wszystko rzucił żonie pod nogi. Poczem skoczył przez otwarte okno z drugiego piętra hotelu, zabijając się na miejscu. Tragiczna śmierć nieszczęśliwego Szkota wywołała w Nizzy głębokie wrażenie.

Przygoda Anglika w podziemiach. Kapitan armji angielskiej w Indjach, Wiliam Orgill, bawiący od kilku miesięcy w Anglji, przeżył ostatnio niesamowitą przygodę. Kapitan ów, namiętny i wybitny turysta, udał się w towarzystwie swojej siostry na wycieczkę do sławnego labiryntu podziemnego pod Trethfordem, tzw. jaskini Grimma. W podziemiach zabłąkali się i niefortunna wycieczka zakończyłaby się śmiercią obydwojga, gdyby nie przyjaciel, który dowiedział się przypadkowo o wycieczce i zawiadomił o tem policję. Po trzydziestu kilku godzinach udało się ekspedycji ratunkowej ocalić zbłąkanych. Słynne jaskinie Grimma w Anglji stanowią istne miasto podziemne. Posiadają one kilka pięter i połączone są olbrzymiemi, rozgałęzionemi tunelami. Kapitan Orgill postanowił wraz z siostrą udać się bez przewodnika, celem zwiedzenia owego podziemnego miasta. Widocznie Orgill zlekceważył niebezpieczeństwo, połą-

czone z taką wyprawą, ponieważ nie zaopatrzył się w żadne zapasy, lecz zabrał ze sobą zaledwie jedną świecę i kilka paczek zapałek. Tę lekkomyślność omal nie przypłacił życiem. Z początku wędrówkę odbywali bez przeszkód. Dostali się przez krętą, wijącą się drogę podziemną do większej groty, z której rozchodzi się kilka tunelów w rozmaite strony. Po krótkiej naradzie kapitan zdecydował udać się w dalszą drogę jednym z tunelów, nie troszcząc się o to, w jaki sposób wydostaną się na powierzchnię ziemi. Po pół godzinie znaleźli się w olbrzymiej hali podziemnej, mającej wygląd nawy fantastycznej świątyni. Chcieli oglądnąć interesującą jaskinię, lecz w tej chwili zdarzył się niebywały przypadek. Orgillowi upadła świeca. Napróżno w poszukiwaniu za zgubą wyświecono wszystkie zapałki, świeca się nie znalazła i turyści pozostali w ciemnościach, odcięci od świata, żywcem zagrzebani kilkaset metrów pod ziemią. Z początku zabłąkani nie zdawali sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa, jakie im groziło. Lecz później sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Czas mijał, widmo śmierci głodowej zaczęło zaglądać w oczy. Tymczasem przyjaciel, powiadomiony przypadkowo o wycieczce, zaczął się niepokoić przedłużającą się nieobecnością kapitana i jego siostry i zawiadomił policję. Pod kierunkiem przewodnika udała się do podziemi grupa policjantów, zaopatrzona w reflektory elektryczne. Cały dzień stracili ratownicy na daremnem poszukiwaniu zaginionych. Wreszcie o świcie światło reflektorów padło na dwie leżące na ziemi postacie, omdlałe z wyczerpania i głodu. Kapitan Orgill osiwiał zupełnie, siostra jego uległa silnemu wstrząsowi nerwów i musiała być oddana do szpitala. Opowiadali później, że wydawało się im, iż pobyt ich w ciemnościach podziemi, zdala od świata i żywych, trwał całe tygodnie.

Bójka księży z bandytami. Do jednego z koś, ciołów w Meksyku zakradli się trzej zamaskowani rabusie, gdzie zamierzali skraść większą ilość gotówki oraz złote i srebrne naczynia kościelne.



Rabusiów jednak spostrzegli trzej księża, którzy wydali im walkę. Po piętnastu minutach walki, w której księża użyli kijów i pięści, a bandyci noży i pałek, księża odnieśli zwycięstwo i przepędzili złoczyńców, zanim ci zdołali cokolwiek unieść. Mężni kapłani otrzymali jednak ciężkie rany.

Tajemnicze duchy w klasztorze. We wszystkich niemal krajach istnieje szereg średniowiecznych legend i opowieści, pełnych duchów, zjaw i różnych rzeczy niesamowitych. Fakt, który zdarzył się obecnie w Brazylji, przypomina te właśnie średniowieczne legendy. Jak donosi „United Press" — jakieś tajemnicze duchy przeszkadzają w zburzeniu starego klasztoru Karmelitów w San Paulo, który został zbudowany w roku 1603, a opuszczony przed dziesiątkami lat, miał być obecnie ostatecznie zburzony. Z niezliczonemi swemi kaplicami i celami, klasztor ten aczkolwiek w ruinach, zajmuje tyle miejsca, iż mógłby na niem stanąć wielki nowoczesny blok domów. Postanowiono zatem zniszczyć stare, bezużytecznie stojące resztki klasztornych budowli, aby plac wykorzystać dla praktycznych celów budowlanych. Robotnicy rozpoczęli dzieło burzenia starych murów. Tymczasem jednak zaczęły się dziać w klasztorze jakieś niesamowite rzeczy, które udaremniały akcję burzenia. Ludzie, zajęci przy tych robotach, przysięgają, że na wszystkie te dziwy patrzyli własnemi oczyma i sami je przeżywali. Opowiadają oni między innymi, że stare kamienie w jakiś niewytłómaczony sposób, jakby powstrzymywane tajemniczą siłą, nie dawały się ruszyć z miejsca. W innym znów wypadku nagle cała ściana muru zapadała się nieoczekiwanie pod ziemię. Robotnicy opowiadają dalej o rozmaitych drzwiach, które były tak mocno zamknięte, iż w żaden sposób nie można ich było otworzyć. Niejednokrotnie zaś drzwi te nagle, nietknięte niczyją ręką, z wielkim łoskotem same się otwierały... Robotnicy słyszeli również wydostający się ze starych cel klasztornych jakby jęk płaczących dzieci. Kiedyindziej znów w paniczne wprost przerażenie wprawiał ich dźwięk dzwonków, wzywających na modlitwę, a rozlegających się z małych kapliczek klasztornych. Jeden z zajętych przy burzeniu starego kościoła robotników stwierdza, iż słyszał zupełnie wyraźnie grające organy. Przy robotach, przedsięwziętych w celu zniszczenia ruin starego klasztoru, wykryto najrozmaitsze podziemne krużganki, tajemnicze korytarze, ukryte w murach drzwi i t. d. Jeden z robotników udał się raz w porze nocnej do klasztoru, aby znaleźć jakiś zapomniany tam przez siebie przedmiot. Błądząc wśród podziemnych krużganków, zgubił drogę i wkońcu przez jakieś tajemnicze drzwi, ukryte za głównym ołtarzem, przedostał się do starej kapliczki. Człowiek ów stwierdza pod przysięgą, iż słyszał dobywający się z chóru kapliczki śpiew. Gdy przerażony zaczął uciekać, ujrzał nagle trupio bladą postać mnicha w habicie Karmelity: który cichym krokiem przesuwał się niby cień po schodach. Inny znów robotnik oświadcza, że gdy wybijał dziurę w murze, ujrzał przez powstały otwór w rogu jednego z krużganków starego mnicha. W postaci jego rozpoznał przeora klasztoru, O. Antonio Ignazio, którego fotografję oglądał parę dni przedtem, a który w r. 1859 został w tajemniczy sposób zamordowany.

Poraz drugi na świecie. Siedmioletnia córeczka bramina Ganga Wisznu, zamieszkałego w miejscowości Szandinagar, imieniem Rankoli, już jako czteroletnie dziecko oświadczyła razu pewnego swym rodzicom, że żyje już poraz drugi i że w pierwszym swem życiu zamieszkiwała we wsi Maglabad i nosiła imię Sitarem. Nie przywiązywano wówczas do słów dziecka żadnego znaczenia. Ale gdy mała Ramkoli z biegiem lat coraz natarczywiej wyrażała prośbę, aby ją zawieźć do Maglabad, by mogła tam zobaczyć się ze swymi synami, których miała podczas pierwszego swego wcielenia i gdy wkońcu doszło do tego, że dziewczynka odmówiła przyjmowania pokarmów, zawiózł ją Gango Wisznu do Maglabad. Gdy przybyli do tej miejscowości, dziewczynka bez żadnego wahania udała się do jednego z domów i tam serdecznie pozdrowiła jako swego syna 26 letniego gospodarza. Gdy człowiek ten począł się śmiać, dziewczynka ku jego nieopisanemu zdumieniu opowiedziała mu najdrobniejsze szczegóły, które dotyczyły ostatnich chwil jego zmarłej matki i moc innych faktów z ich wspólnego życia. Setki ludzi gromadziło się wokół domu, upatrując w tem niezwykły cud i uważając dziewczynkę za świętą. Ona zaś przypominała coraz to nowe fakty i zdarzenia, o których pamiętali ci, co byli z nią razem i zachowali jeszcze życie. — Całe to opowiadanie wygląda bardzo podejrzanie.

RZECZY CIEKAWE.

Wyginięcie zwierząt.

Niektórzy uczeni twierdzą, że postępująca ciągle naprzód cywilizacja jest niebezpieczna dla świata zwierzęcego. Im szersze kręgi obejmuje kultura, tem bardziej zmniejszają się przestrzenie, na których mogą przebywać zwierzęta, albo wrogie człowiekowi, albo te, które mu służą do jakichkolwiek celów, tak że zupełne zniknięcie pewnych gatunków zwierząt z powierzchni ziemi, jest tylko kwestją czasu. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że dla handlu piórami wytępiono mnóstwo ptaków, niewiele zato osób wie o tem, że z powodu zastosowywania przeróżnych przepisów hygienicznych i ilość owadów zmniejsza się powoli i że w niektórych okolicach pewne owady, wydzielające ze siebie nieprzyjemną woń, zwłaszcza te, które przebywają po sypialniach, zostały zupełnie wytępione.

Przed niedawnym czasem wielkie wrażenie wywołała w Anglji przepowiednia pewnego uczonego, który twierdził, że za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat nie będzie w Anglji ani jednego konia. — Było to oczywiście przesadą, ale pomimo to jest faktem, że automobil wyrugował z ulicy konia i gdyby nie sport wyścigowy, to szlachetne, niegdyś tak cenione zwierzę nie miałoby racji bytu.

Handel futrami przyspiesza zagładę fok i koni morskich, które z okolic bieguna południowego prawie zupełnie zginęły; podczas gdy jeszcze przed dziesięciu laty ilość żyjących tam fok liczono na 1,000.000 dzisiaj ma ich tam być zaledwie 200.000.

Nawet rybom grozi zagłada; niektórzy utrzymują, że jeśli się na kilka lat nie zabroni połowu ryb na wybrzeżach Danji, Norwegji i zachodniej Anglji, to w przeciągu krótkiego czasu morze Północne straci wszystkich swych mieszkańców. Odkąd stare barki rybackie zastąpiono dużymi parowcami, ilość poławianych ryb wzrosła ogromnie. W jednym roku poławiają w morzu Północnem przeciętnie 500 miljonów ryb, a w roku 1927 na targach rybnych sprzedano 600 miljonów samych śledzi.

I niektórym drapieżnym zwierzętom grozi zagłada. I tak n. p. wilki żyły jeszcze do niedawna w lasach Szkocji, Anglji i Francji. Dzisiaj jest tam zaledwie paręset egzemplarzy, a i te zaginą niezadługo; co prawda nikt tego żałował nie będzie. Faktem jest tedy, że niektóre gatunki zwierząt blizkie są zupełnego zniknięcia z powierzchni ziemi i że nawet przez specjalne zarządzenia ochronne nie da się ich uratować. Do tych ostatnich zaliczyć należy nasze żubry, których dzisiaj żyje na świecie zaledwie znikoma ilość.

Plaga wróbli.

Istnieją liczne przykłady niesłychanie szybkiego rozmnażania się zwierząt przeniesionych sztucznie w okolice sprzyjające ich rozwojowi. Tak np. swego czasu przywieziono króliki do Australji, a potem musiano z niemi walczyć przy pomocy trucizny i zarazków. Okazało się bowiem, że króliki w krótkim czasie byłyby zjadły wszelką roślinność Australji, tak szybko się rozmnożyły. Brakło zaś drapieżców, które w Europie czy Azji regulują ilość roślinożerców.

Obecnie Chile ma podobny kłopot z wróblami. W 1916 roku pewien Włoch starał się przemycić do Chile 12 par nieznanych tam wróbli, lecz został przychwycony na granicy, wróble zaś skonfiskowano i puszczono na wolność.

Po kilku latach chmary szarego ptactwa stały się tam równie popularne jak i w Europie. Brak drapieżców, które w kraju ojczystym wybierały stały haracz z wróblej gromady, dalej ciepły klimat i dostatek pożywienia, wpłynęły na niesłychaną mnogość. Obecnie wróble stały się w Chile plagą, nad której sposobami usunięcia rząd zastanawia się poważnie.

Charakter a uszy.

Pewien amator statystyki przeprowadził mozolne badania na temat kształtu uszów u ludzi wybitnych. Oto jego wnioski: Ludzie wybini, filozofowie, poeci — mają zazwyczaj kształtne uszy. Napoleon miał uszy zupełnie normalne, ale charakterystyczną ich cechą było to, że nigdy się nie czerwieniły. Blade uszy są cechą charakterów zimnych i despotycznych. Łatwo czerwieniejące się uszy zdradzają człowieka uczuciowego i wrażliwego. Ludzie subtelni i rozumni mają delikatny i niewielki obrębek ucha, ale kanciaste uszy o brzegach nierównych miewają osobnicy kłótliwi, lub okrutni. Ludzie muzykalni posiadają uszy szerokie i odstające. Zasadniczo jednak duże i grube ucho jest dowodem przewagi instynktów zwierzęcych — jeśli jest przytem odstające, to można podejrzewać jego właściciela o skłonności zbrodnicze.

Jak się rozpowszechniło mydło.

Powiadają, że oświatę pewnego narodu poznać można po ilości zużywanego mydła. I w tem jest racja. Tylko nieoświeceni, o małej kulturze ludzie, mogą żyć w gnoju i brudzie. Ze wszystkich krajów europejskich najwięcej mydła zużywa Anglja. Tam też oświata stoi najwyżej. A jednak tę opinję doskonałej dbałości o czystość ciała, kraj ten posiada stosunkowo od niedawna. Jeszcze przed 50 laty, na 50 domów był tylko jeden, który posiadał łazienkę, a w niektórych prowincjach Zjednoczonego królestwa łazienka była prawie, że nieznana. Dwa były powody, które przyczyniły się do tego nadzwyczajnego rozpowszechnienia mydła w ostatnich czasach. Pierwszym była propaganda jednego z księży anglikańskich, nazwiskiem Beecher, który jeżdżąc od wsi do wsi głosił w swych kazaniach, że nie może mieć czystej duszy ten, kto nie dba o czystość ciała. Idea ta obiegła wszystkie niemal kraje, wywołała mnóstwo dyskusyj na ten temat i rozpowszechniła się między ludem. Drugim powodem była reklama jednej z największych fabryk mydła w Anglji, reklama doskonale i na nowy sposób zorganizowana. Właściciele fabryki zakupili mianowicie prześliczny obraz Millais'a, przedstawiający ładnego, jasnowłosego chłopaczka, puszczającego bańki mydlane i reprodukcję jego rozrzucili w tysiącach egzemplarzy po całym świecie. Reklama ta wywołała nadzwyczajny skutek. Użycie mydła rozpowszechniło się ogromnie szybko nietylko w Anglji, ale i w innych kulturalnych krajach Europy. Autor obrazu daremnie protestował przeciw takiemu profanowaniu swego dzieła, wszelkie jego skargi pozostały jednak bezskuteczne.

W dzisiejszych czasach każdy Anglik zużywa przeciętnie w roku około 7 kg. mydła, w przeciwieństwie do Rosjanina, który zadowala się tylko 750 gramami. W innych krajach Europy ilość zużytego mydła waha się między 1 a 5 kg. na głowę.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. Józef **Kapuściński** w L.: Okładkę na „Rolę“ posłaliśmy. Pod wskazanym adresem „Rolę“ do Francji zaczęliśmy posyłać. Kalendarze będziemy mieli, jak w roku ubiegłym, „Powszechne“ i w tej samej cenie. Dominik **Bielak** w Ch. W.: Szarady dobre. Jerzy **Markowicz** w L. G.: Najlepiej zaprenumerować na cały rok, gdyż to taniej kosztuje. My i Maciuś za pozdrowienia dziękujemy. Ignacy **Biegacz:** Wierszyki leżą w teczce i czekają na swą kolej. Wincenty **Kuglin:** Obydwa wierszyki dobre. Szymon **Ladanier w O.:** „Wrażenia z letniska“ dobrze napisane, ale zamało interesujące naszych czytelników. Zagadki p. H. zamieścimy. Alfons **Czader** z S. W.: Szarady otrzymaliśmy, dobre, zamieścimy. Jan **Marciniszym** w B.: Do końca roku potrzeba jeszcze 4.80 zł. Zaległe numera wszystkie posłaliśmy. Cześć! Leonard **Manke** w K.: Urząd pocztowy w Koniecpolu odpowiedział, że winę za późne doręczanie „Roli“ ponosi posłaniec, ponieważ po pocztę późno przychodzi i „Rola“ kilka dni w skrytce leży. Niech Pan u odnośnych czynników tę sprawę poruszy, aby posłaniec czynności tej nie zaniedbywał. Za uwagi dziękujemy. Nr 35 już z okładką. Załączamy pozdrowienia. Ela **Irecka** w G.: Logogryf i szarady dobre — umieścimy. Piotr **Wenc** w Ś.: Otrzymaliśmy — dzięki. Marjan **Grzybek** w R. G.: Jakie aparaty, to nie wiemy. Niech Pan napisze do tego Domu wysyłkowego w Uhnowie, a objaśnią Pana. Za uznanie dzięki. Stanisław **Jamiałkowski** w B.: Niech Pan zwróci uwagę kierownikowi poczty, że w Polsce niema czasopisma tygodniowego, któreby z ryczałtu nie korzystało i „Rola“ płaciła ryczałt, płaci i płacić będzie i zawsze na okładce był napis: „Należytość poczt. opł. ryczałtem“, a tylko, gdy kilka numerów podczas wakacyj wydaliśmy bez okładki, napis ten chwilowo odpadł. Kierownikowi poczty nie wolno wogóle do numeru zaglądać, chociażby za napisem: „Nal. poczt. opł. rycz“. Od tego jest urząd odbiorczy Kraków. Jeżeli „Rola“ nie będzie opłacona ryczałtem, to urząd odbiorczy Kraków przybije na opasce literę **T** i wtedy kierownik urzędu ściągnie podwójną opłatę. Tego żadna poczta w Polsce nie zrobiła, tylko urząd pocztowy Sokoły. Lepiej niech baczy, aby nie odbierał dla adresata samej opaski, bo dotąd również w Polsce się nie zdarzyło, aby adresatowi jakby na drwiny doręczyć samą opaskę bez numeru. Przepadłe numera wyślemy Panu powtórnie i wniesiemy zażalenie do dyrekcji poczt.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 24 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·05 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·14 do 1·75 zł.	Cielęta .	od 1·27 do 2·15 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do3.25

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka.

(Ułożyła Z. Boroniówna z P.).

■ ☆ ☆ a Lalka inaczej.
■ ☆ ☆ a Choroba u dzieci.
■ ☆ ☆ a Miasto w Rosji.
■ ☆ ☆ a Część kościoła.
■ ☆ ☆ a Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ a Kobieta inaczej.
■ ☆ ☆ a Instrument muzyczny.
■ ☆ ☆ a Część ubioru rektora.
■ ☆ ☆ a Drzewo.
■ ☆ ☆ a Znak matematyczny.
■ ☆ ☆ a Kryjówka zwierząt.
■ ☆ ☆ a Zapora na rzece.
■ ☆ ☆ a Tow. wychowania fizyczn.
■ ☆ ☆ a Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ a Pokój wiejski.
■ ☆ ☆ a Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ a Artykuł spożywczy.

Zamiast kwadracików i gwiazdek powstawiać odpowiednie litery, a te utworzą 17 wyrazów kończących się na „a“, początkowe zaś litery czytane z góry na dół, zamiast kwadracików, dadzą pamiętną chwilę w lotnictwie polskiem.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Pierwsza i czwarta barwa znana wszędzie,
Drugie i trzecie miasteczko znów będzie
W Małopolsce wschodniej Sama zaś [pierwsza
Kazuje milczeć. Trzecia i czwarta w zna- [czeniu szersza
Pomoc u Czechów. Znaczy coś „termy“ [lub „bady“.
By was nie nudzić kochane sąsiady,
Obwieszczę całość. Jest nią część ubrania
Wyjawić jednak znaczenia mi wzbrania
Trzecia i druga. Zresztą znaczenie „Rola“ [obwieści,
A kto dobrze rozwiąże, dostanie powieści.

II.

Pierwsza słowa początek,
Trzecia sama nic nie znaczy,
Pierwsza i trzecia to nazwa olbrzymów,
Gdzieś, skądś, z rodziny „trębaczy“,
Całość to naród, czy szczep, coś takie,
Gdy zgadniesz osądź, czy to swój, czy [sąsiady jakie.

III.

Pierwsza z trzecią słynna z wielkiego [wesela,
Druga z trzecią na okrętach zwłaszcza jest [do usług wiela,
Drugiego, trzeciego rybacy chwytają,
Trzecie wymawiają, gdy komu coś dają.
Całość jest to krzew, kwiat biały, owoc [czerwony, rodzący,
Do ozdoby ziela w dzień „Zielnej“ służący.

IV.

Trzecia zaimek pono osobowy,
Pierwsza wraz z trzecią kapią ludziom [z głowy
Co ciężko pracują. Czwarte i trzecie strach [budzi
U zwyrodniałych lub zbrodnią splamio [nych ludzi,
Czwarta sama spółgłoska. stoi w liter [rzędzie,
Trzecią i czwartą znajdziecie na grzędzie
Całość znana z tego, że dość często bryka
Czasem do niej i nasz Bzdura swój ładny [nos wtyka.

3. Zagadki.

(Ułożył Włodzimierz Szwabowicz).

1) Wprost po wodzie płynie
Wspak zaś w stylach słynie
2) Wprost jest ptaszek śpiewający,
Wspak jest napój słód dający.
3) Wprost się w lecie często zdarza,
Wspak jest miarą gospodarza.
4) Wprost jest rzeka na dalekim [świecie,
Wspak zaś ryba, jak się wnet [dowiecie

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył G. Wachtel z T.).

G. A. Rzęski
A. Przetak
Sofer Rop

Ułożyć zawody powyższych osób.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 8 b. m.

Znaczenie zagadek z Nr. 34 „Roli“: 1. Łamigłówka: Statut Wiślicki. 2. Szarady: I. Czekolada. II. Kotara. III. Roraty. IV. Karnawał. 3. Zagadki: I. Nasturcja. II. Lewkonja.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Jadwiga Szczerbowska z F., Piotr Wenc z Ś., E. Unsing z P., Józef Kapuściński z L., Feliks Popielarczyk z S., Jan Wyrobek z J., I. Zajączkowski z S., Wojciech Zieliński z D., Jan Matuszkiewicz z G., Zofja Boroniówna z P., Ks. Maciej Suchodolski z T., Sawa z Krościatyna, Michał Więcław z N., Jan Patulski z O., Stanisław Matuga z Ł D., Jakób Jeziorański z J., Władysław Soból z Z., Jerzy Markowicz z L. G., Dominik Bielak z Ch. W., Maryśka Kubicka z P. Tadeusz Kwerka z W., Ela Irecka z G., Antoni Frączek z P. Tiszler Tomasz z St. S.

Nagrody wylosowali pp.: Jerzy Markowicz, L. G. i Tiszler Tomasz z St. S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Współczesny chłopiec.

— Dam ci złotówkę, Józiu, jeżeli mi opowiesz bajkę!

— Stryjku! Opowiem ci dwie odrazu za półtora złotego.

Na jarmarku.

Żyd (sprzedający pończochy, zachwala je, mówiąc): Trzy lata je noszę, a jeszcze są, jak nowe!

Gospodyni: — A jak kupiłam od was przeszłego roku parę pończoch, to się za trzy dni rozlazły.

Żyd: — No, bo wyście je nosili na nogach, a ja na plecach.

Delikatne omówienie.

— Wczoraj spotkałam kogoś, kto oszukuje mojego męża.

— Co to znaczy?... z kimże go oszukuje?

— ...Ze mną!

Kieszeniowa omyłka.

— Czy pan doktór postawił kiedy mylną djagnozę ?

— Owszem. Leczyłem raz jednego pacjenta na katar żołądka, a potem sprawdziłem, że mógł sobie pozwolić na operację ślepej kiszki.

Pomyłka.

— Nie jadłem już dwa dni, proszę pani.

— Zaczekajcie tu, poproszę natychmiast męża.

— Dziękuję bardzo! Wcale nie jestem ludożercą.

Na stacji.

— Chłopcze, ależ ten kufel z piwem jest zupełnie brudny...

— To dziwne, już sześciu panów piło z niego, a żaden mi tego nie powiedział....

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numera zaległe z początkami powieści od półrocza można nabyć w Administracji „Roli“ w cenie 30 groszy za numer.

Kupujący w agencjach mogą nabyć też przez agencje.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 24 sierpnia b. r.

Pszenica .	50·00—51·50	Słoma długa	00·00—00·00
Żyto .	37·50—38·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	39·00—40·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	38·00—39·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Łubin żóły	29·00—30·00	Otręby żytnie	30·50—31·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	58·50—59·50
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	84·00—85·00
Siano słodk.	29·00—30·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Koniczpastew.	38·00—40·00	Mąka czerw.	34·00—35·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg